

PISMO ILLUSTROWANE DLĄ RODZIN.

№ 24. Warszawa, dnia 4 (16) Czerwca 1876 roku. **Rok 12.**

CENA PRENUMERATY:

w Warszawie z odn. do domu		na prowincyi w Cesarstw. i Królestwie.	
rocznie	rs. 6 k. —	rocznie	rs. 8 k. —
półrocznie	„ 3 „ —	półrocznie	„ 4 „ —
kwartalnie	„ 1 „ 50	kwartalnie	„ 2 „ —
miesięcznie	„ — „ 50		

w Krakowie rocznie z stemplem dziennikar. Zlr. 10. w Galicyi Zlr. 11 cent 50. — w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA, SKŁAD GŁÓWNY i EKSPEDYCYA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT Nr. 72 NOWY.

Skład główny: w Poznaniu w Księgarni *Leitgebera i Spółki;* we Lwowie w *Księgarni Polskiej*, ulica Kopernika Nr. 12; w Krakowie w Księgarni *Gebethnera i Spółki;* w Wilnie u *J. Zawadzkiego.*

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15

JESZCZE KOREPETYTOROWIE

JAKO ODPOWIEDŹ OJCU z LUBLINA.

Trudno, a przynajmniej niewygodnie wieść spór z osobą pokrytą jakimś niepewnikiem, bo w takim razie nie wiedzieć, czy rzecz zbyć kilku lekkiemi nic nie znaczącemi ogólnikami, czy też traktować ją ze stanowiska odpowiedniego przedmiotowi i jego wymaganiom. Autor artykułu w N-rze 55 Kuryera Lubelskiego, odpowiadając w kwestyi korepetytorów, zasłonił się mianem Ojca, ależ w Lublinie ojców podobno jest bardzo wielu, bo i gdzieżby ich nie było! Na ten raz jeszcze niechże i tak będzie.

Powiada ojciec z Lublina, że kwestya korepetytorów jest zbyt ważna, żeby ją się godziło zbyć milczeniem. Że mu leży na sercu, widać to z dość obszernego traktowania o rzeczy i szczegółowego rozbioru niektórych chwil nauczania.

To wszystko bardzo pięknie, zgadzamy się aż tak daleko z sobą w zupełności; tylko zachodzi ta mała różnica między nami, że autor artykułu zapatruje się na korepetytorów ze stanowiska dodatniego a ja z ujemnego. Tego mu wszakże za złe nie bierzemy, bo wszyscy na jedno od razu zgodzić się nie możemy, to rzecz pewna; wielu, czy to skutkiem teoretycznego badania i rozmyślania, czy też z praktycznego doświadczenia, czy nareście z wychowania a przedewszystkiem przywyknienia, może mieć inne zapatrywanie się na rzeczy, inne wyobrażenia, inne przekonania. Mybyśmy się też nie wdawali w replikę z ojcem z Lublina, gdyby nie owa rażąca różnica myśli i zdań pod tym względem i uporczywe obstawanie przy starej rutynie.

Najprzód mówi autor że przy dzisiejszym numerycznym składzie uczniów po klasach, jeżeli przedmiot jaki jest wykładany dwa razy na tydzień, to na kwartał przypadnie 24 razy, a w takim razie dla dokładnego wybadania ucznia i dania mu stopnia nie na *chybił — trafił*, ledwie dwa razy na kwartał, egzaminując go po kwadransie, przypadnie pół godziny na jednego. Na to odpowiadamy, że pedagogika lubi życie ruch, swobodę, a nie podciąganie wszystkiego pod *cyrkiel* i *cyfry*. Nauczyciel mający cokolwiek tylko bystry pogląd, wie w dwa a najdalej w trzy miesiące, co każdy uczeń umie, co w nim tkwi, czego się od niego może spodziewać, czy ma wrodzoną chęć do pracy, do nabycia wiedzy, czy tylko podtrzymywaną pewnemi zewnętrznemi często sztucznie, a jeszcze częściej przymusowo wywołanymi środkami pedagogicznemi. Trzymanie ucznia przy lekcyi kwadrans, jest jak wedle jakiego przedmiotu zbyt utrudniające—już dla samego ucznia lekcyą wydającego, już też i dla drugich a zwłaszcza w niższych klasach. Tu rozmaitość i zmiany nader są pożądane i nader korzystnie działają tak na ożywienie ducha pomiędzy uczniami, jako też utrzymanie ich uwagi. Jednego ucznia przyjdzie nauczycielowi trzymać może kwadrans (mówię to z zastrzeżeniem), drugiego pięć minut tylko, i od tego więcej się dowie, lepiej go zbada, niżeli tamtego w kwadrans. Nauczyciel po trzech, pięciu odpowiedziach już wie, co chłopiec umie, przedewszystkiem czy się przygotował i jak się gotował. Zresztą trzeba wiedzieć, że uczeń nie wtenczas korzysta, kiedy sam *lekcyę wydaje*, zwłaszcza jeżeli nie jest przytomnego umysłu i pewien siebie, bo w tej chwili myśli on więcej, czy mu się lekcya dobrze uda, czy dostanie ową marzoną *piątkę* (częstokroć nie tylko na jawie ale i we śnie), a co najmniej *czwórkę*, ale wtenczas głównie, kiedy *inny lekcyą* wydaje a on pilnie uważa i postępuje za wątkiem myśli. Wtenczas on już nie *sobą* ale *przedmiotem* jest zajęty i jemu umysłowo całkiem oddany. Czy tak jest lub nie, niech myślący pedagogowie sąd o tem wydadzą.

Dalej mówi autor, że nauczyciel, nie mogący się ograniczyć przy zadawaniu nowej lekcyi na prostem naznaczeniu *stąd — dotąd*, zaledwie jest w stanie w ciągu tak *krótkiego czasu!?* (wyżej mówi: „tym sposobem pozostaje mu zaledwie po pół godziny na wykład") przedmiot swój z należytą i dla bystrzejszych uczniów dostateczną jasnością wyłuszczyć (ma pewnie znaczyć wyłożyć) i t. d. Jakto, to nauczyciel potrzebuje pół godziny (horrendum), aby objaśnić uczniom nowo zadane pensum?! Jaki-że to przedmiot wymagałby tego? gdyby choć najtrudniejsze zadanie jeo-

metryczne, to jeszcze nie wyniknie potrzeba gadania uczniom pół godziny o niem. Co uczniowie z takiego wykładu, z takiej *gadaniny*, że się tak wyrazimy, spamiętają, co zrozumieją i co do domu przyniosą... Mało co, albo nic.

W końcu naszej rozprawy powiedzieliśmy, że jest wadą, zwłaszcza młodych nauczycieli, wyszłych świeżo z uniwersytetu, przypuszczanie, że mają przed sobą młodzieńców dojrzałych, których można zainteresować przedmiotem, i stara się trudności przedmiotu w przeciągłym wykładzie rozwijać. Z takiego wykładu akrobatycznego, żadna korzyść dla uczniów gimnazyalnych, mianowicie też klass niższych (o których to właśnie przy owej kwestyi korepetytorskiej głównie chodzi) nie wypływa. Unikając dalszego tłomaczenia się i wywodu, odsyłamy Ojca do przeczytania sobie jeszcze raz z uwagą, tego cośmy tam powiedzieli.

Zresztą nie wolno w dydaktyce takich odstępów, takich saltus mortales robić, żeby potrzeba było aż pół godziny na objaśnienie nowo zadanego pensum. Nowa lekcya powinna tak ściśle być związaną z poprzednią, nowy temat takim następstwem dawniejszego, że powinien niejako stanowić logiczny i konieczny jego wypływ.

Ażeby od piwnic dostać się na wierzchołek dachu kilkopiętrowego domu, nie można tego robić zwyczajem skoków dzikiej kozy, ale postępując zwolna szczebel po szczeblu, należy się oglądać za siebie, ile się już drogi przebyło, czy może już nie za wysoko wdrapaliśmy się i czy nam się w głowie (nie nauczycielowi ale uczniom) nie zakręci. Jeżeli więc nauczyciel na objaśnienie nowo zadanej lekcyi zużyje 5, a co najwięcej 10 minut, to będzie aż nadto wiele. Resztę ma uczeń sam w domu zrobić, sam przewertować.

Jeżeli nauczyciel poświęci pół godziny na wykład nowo zadanego przedmiotu, to pięciu a choćby i dziesięciu uczniów *może* będzie za nim postępowało, a reszta co będzie robiła, zwłaszcza wiedząc, że tam w domu korepetytor na niego czeka?! Będzie prowadziła najrozmaitsze gawędki, różne płata figle szkolne, poziewała, albo na czem jeszcze nauczyciel dobrze wychodzi, wpadłszy w bezmyślne osłupienie, spokojnie będzie siedziała. Dalej mówi autor: „Rozgarnięty korepetytor z łatwością oceni, czy uczeń w klasie uważał, co zrozumiał, a czego nie zrozumiał, o *co był pytany!!* (no tej mądrości korepetytorskiej i tego ducha wieszczego, to już zanadto!) a jeżeli nie *odpowiedział* (to już silnie na spirytualizm zakrawa) *zadawalniająco*, to z jakiego powodu. Otóż to właśnie, rodzaj korepetytorów: *nieocenionych, złotem nieopłaconych*, za którymi w samej rzeczy rodzice tak bardzo się ubiegają, — my byśmy chcieli właśnie jak najdalej od szkoły odpędzić, a dzieci nasze w interesie ich rozwoju umysłowego, ich samodzielnej pracy, do rachowania tylko w domu na siebie przyzwyczaić i przyuczyć. Bo tak jak jest dzisiaj, to żaden nauczyciel nie może być pewien, przeglądając i poprawiając ćwiczenia domowe, czy ma pracę ucznia przed sobą czy jego korepetytora. Jest-to, można powiedzieć, pierwsza pobudka i pierwsze naprowadzanie chłopców na kłamstwo i w ogóle krętarstwo szkolne i za niem idzie i domowe, bo uczeń pokazując obcą pracę a nie swoję własną, okłamuje nauczyciela a przynajmniej ma zamiar go okłamać; gdy zaś zostanie przekonany, że to nie on robił, zaczyna tedy wykręcać się, że on robił, ale korepetytor mu pomagał, poprawiał, że on zrobił połowę, ale nie mogąc sobie dać rady lub nie mając już czasu, reszty dokonał korepetytor, aż w końcu przyznaje się, że on sam nic nie zrobił. Tak jest niestety! Główną wadą naszych uczniów jest, że umieją kłamać, kręcić, tłómaczyć się, (wady biorące jeszcze skąd inąd swój początek), które na pozór niby nieszkodliwe, ale w każdym razie *w dziecku obrzydliwe*, mają te złe następstwa że ich się już potem trudno pozbyć, że z wiekiem stają się nałogiem, nieomal namiętnością. Są ludzie, którym to sprawia prawdziwą rozkosz okłamywać drugich, chociaż dla nich samych żadna stąd korzyść a dla tamtych żadna szkoda nie wypływa. Ale tak sobie, aby łatwowiernych durzyć.

W dalszym ustępie mówi Ojciec tak: „Korepetytor może, a w pewnych razach *powinien* porozumiewać się z nauczycielem, już to dla dowiedzenia się, jakim wymaganiom tego ostatniego wychowanek nie czyni zadość, już dla poproszenia o przeegzaminowanie, celem pobudzenia pilności lub sprawdzenia i należytego ocenienia dokonanej pracy. W istocie nie bardzo pochlebną sz. Ojciec z Lublina ma opinię o nauczycielach, stawiając ich na równi a może niżej od samych korepetytorów, kiedy aż tych ostatnich potrzeba aby dodawali nauczycielom bodźca do częstszego przeegzaminowywania i pobudzania do pilności opieszałych uczniów. Pomińmy już pedagogiczno-etyczną stronę tego ustępu, o którym dałoby się bardzo obszernie napisać, a pomówmy o tem jak się on przedstawia ze strony praktyki. Przypuśćmy, że w klasie jest 20 chłopców, których korepetytorom się *zdaje*, że ich pupilowie dostali zły stopień, i zaczną nachodzić nauczyciela (prawdopodobnie w domu, bo w szkole nie ma do tego ani czasu ani miejsca) obsypując go uwagami co do swego ucznia i stawiając mu pytania, dla czego tenże ma złe stopnie, kiedy on go pilnuje i czuwa nad jego dokładnem wyuczaniem się lekcyi. Jeżeli nauczyciel, co najmniej, daje w dwóch klasach, to będzie miał co miesiąc 40 wizyt (nie zazdrośćmy temu, któryby się chciał poddać takim korepetytorskim odwiedzinom) po większej części od osób, którymby wypadało samym się dobrze uczyć, a nie innych. Zostawmy nauczycielowi i władzy przełożonej szkoły ocenienie i troskliwość o wszelkie przeegzaminowanie i pobudzenie ucznia do pilności bez współudziału korepetytora. Jeżeli uczeń się rozpróżniacza lub źle prowadzi, jest i będzie obowiązkiem władzy szkolnej przyzwać rodziców lub opiekunów i stosowne przedsięwziąć środki, aby ucznia na lepszą naprowadzić drogę.

Jeszcze dalej mówi autor o potrzebie zastosowania korepetytorskiej pomocy do uczniów zdolnych, ale nie dość pilnych, dla których *perspektywa* zapytania przez nauczyciela o lekcyą, nie więcej jak dwa razy na kwartał, za słabym jest bodźcem dla stosowanego przygotowania się na każdą lekcyę. Otóż tej nieszczęsnej dwójki kwartalnej nie może sobie autor z głowy wybić i swobodnie w klasie się poruszać. Nauczyciel praktyczny i z taktem pedagogicznym tak się urządza, że uczeń każdego dnia musi być przygotowany do wydawania lekcyi, powtarzając od czasu do czasu i czynem stwierdzając owe miejsce z pisma świętego: „Bądźcie gotowi, bo nie wiecie dnia ani godziny.“ Bystry wzrok jest dla nauczyciela gimnazyalnego nieoszacowanem dobrem. Wszedłszy do klassy i pociągnąwszy wzrokiem po uczniach, wie, kto przygotowany, a kto nieprzygotowany. Mówiłem wyżej, że tylko pierwsze dwa lub trzy miesiące roku szkolnego mogą go często pozorem zawodzić, po tem następnie idzie prawie zawsze na pewnika.

Na zakończenie rozbierzmy jeszcze jeden ustęp. Mówi autor, że są rodzice po zamiejscowi, dla szczupłych funduszów swoich przymuszeni dzieci swe u jakiej biednej wdowy umieszczać, a ta najczęściej nie jest w stanie swemi wychowańcami kierować. U zupełnie ciemnej lub nieudolnej osoby nikt dzieci swoich przecież nie umieści, ale w każdym razie u takiej, któraby była zdolna pewien moralny wpływ na nie wywierać, t. j. któraby sobie umiała nadać powagę nakazującą posłuszeństwo, któraby czuwała nad ich moralnem prowadzeniem się i religijnem wychowaniem, przedewszystkiem zaś, aby czasu przeznaczonego na odrabianie lekcyj, nie marnowano na próżniactwie, zabawie albo ostatecznie na jakiejś swawoli po zadomem. Osoba taka do kierunku naukowego nie ma potrzeby, ani też nawet, nie powinna się mięszać.

Osoby zaś zamożne, bogate, które albo zbiegiem okoliczności nie są w stanie dać dzieciom swoim odpowiedniego kierunku wychowania lub ich zajęcia po zadomowe na to nie pozwalają, następnie wielcy panowie i panie którzy choćby i czas mieli i ukształcenie po temu, lecz wolą się za pieniądze obcemi osobami w tym względzie wyręczać, tym wolno dla swych synów mieć guwernerów, korepetytorów, mentorów i jak ich tam jeszcze nazwiemy, ale nie dla tego, aby się *razem z nimi* a częstokroć *za nich* uczyli (jeżeli do klas chodzą), lecz aby ich prowadzili, nadawali im pewien kierunek wychowania i dozorowali w punktualnem odrabianiu lekcyi szkolnych.

To samo rozumie się i o nauczycielach i osobach utrzymujących pensyonaty, na których czaem do 20 uczniów się znajduje. A czy tak się dzieje? Zapytajmy się tych biedaków, którzy się tej moralnej korepetytorskiej pracy podejmują. Męcząc się po trzy a częstokroć po cztery godzin nad wyuczaniem swoich pupilów wszystkiego na pamięć, tak doskonale sami się lekcyj wyuczają, że gdyby to tylko jakimś sposobem stać się mogło, za wszystkich by *„na celujący“* pozdawali, kiedy ich uczniowie, częstokroć ledwo na dwójkę wydadzą.

Czy to w rodzicielskich domach, czy po pensyonatach, korepetytorowie mają obowiązek wykonywać ścisły dozór, aby chłopcy w oznaczonym czasie z korzyścią dla siebie pracowali i lekcye szkolne starannie odrabiali. W takim razie, choćby ich było i 15-tu przy jednym stole, lub w jednej sali, z róż-

nych klas i różnem usposobieniem, jedna osoba do nadzoru aż nadto wystarczy. Przytem wszystkiem rozumie się, że ma obowiązek objaśnić każdemu chłopcu w kilku zdaniach, a często w kilku słowach, czego ten nie rozumie, do czego sam dojść nie może i wskazać jak sobie sam radzić powinien. Będzie zaś umiał sobie radzić, jeżeli od pierwszej chwili pobytu w szkole sam zaczął pracować i na lekcyi uważać.

Na tem zakończymy, choćby może wypadało na kilka jeszcze w tej materyi w „Kur. Lub." rzuconych zdań odpowiedzieć. Uważałem je wszakże jako kwestye drugorzędne, które najlepiej milczeniem pominąć. Gdyby przecież Ojciec z Lublina odsłonił swoje nazwisko i miał jeszcze co do powiedzenia w obronie korepetytorów, to mu chętnie dotrzymamy placu. Posłuży to może do wyjaśnienia niejednej myśli na polu pedagogicznem, zupełnie u nas odłogiem leżącem. Rzadko w którem z tutejszych pism peryodycznych można się spotkać z jakąś rozprawą pedagogiczną kwestyi żywotnej, co najwięcej, będzie to jakaś relacya o szkołach zagranicznych, jakiś statystyczny wyciąg z cudzych pism, a nie z tego co nas najbardziej dotycze i co nam leży na sercu. Wyjątek pod tym względem stanowi „Opiekun Domowy," który chciwie chwyta za każdą rozprawę traktującą o wychowaniu, — za co mu się też uznanie należy.

Antoni Celichowski.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile w czynie.

XXIV.

— Proszę pana — zapytuje mię pewna panienka—czy panowie, którzy piszecie już lat przynajmniej z dziesięć, albo i więcej o racyonalnej, jak się wyrażacie, emancypacyi kobiet u nas, na seryo w nią wierzycie?

— Gdybyśmy nie wierzyli, tobyśmy nie pisali.

— To bardzo pięknie z waszej strony, moi panowie, ale...

— Ale cóż?...

— Przepraszam, ale ja nie wierzę...

— Dla czegóż pani nie wierzysz?

— Dla bardzo prostej przyczyny. Nie widzę rezultatów. Hałasujecie panowie, krzyczycie w pismach o materyalnej samopomocy kobiety, o kształceniu jej fachowo, lecz to są wszystko piękne słówka, które bardzo prędko wiatr rozwiewa, ażeby znów można było na ten temat pisać.

— Ho, ho, ho, pani, widzę, jednem słowem chcesz nas wszystkich zdmuchnąć...

— A nie panie, nie poważyłabym się targnąć na waszą powagę pisarską, lecz tylko zapytuję, coście zrobili waszem piórem dla rozwoju w czynie tej kwestyi?

— Cóż pani chcesz, masz pani już pozawiązywane kółka kobiece w rodzaju spółek fachowo-wychowawczych i ekonomicznych, masz pani je w Warszawie i w niektórych miastach prowincyonalnych. Wprawdzie to wszystko jest jeszcze bardzo mało, lecz cierpliwości łaskawa pani, bo *nie odrazu Kraków zbudowano.* Ilość takich kółek czyli stowarzyszeń, jest bardzo niewielka w stosunku do potrzeb, są one jeszcze bardzo młode, aleź i kwestya sama nie dawno, bo dopiero lat kilka temu, agitować się zaczęła więcej na seryo. Wszystko to jest jeszcze bardzo młodociane, bardzo niewprawne, lecz poczekajmy, praktyka wyrobi siły, udoskonali je, a czas wytwarzać będzie coraz to większą liczbę takich stowarzyszeń. Ruch więc na tej drodze postępować będzie na podstawie udoskonalenia i rozprzestrzeniania się. Masz pani nawet już objaw postępu w warunkach udoskonalenia, bo ogłoszono przecież konkurs na napisanie najlepszej ustawy *Kółka pomocy materyalnej dla szwaczek.* Naznaczono nawet nagrodę pieniężną za najlepszą ustawę. Pani, jako czytelniczka „Opiekuna Domowego" i wielu innych pism, wiedzieć przecież o tem powinnaś.

— O wiem, proszę pana, wiem, nawet znam jednego z panów, bliźniego pańskiego po piórze, który zabrał się do pisania takiej ustawy.

— A więc, widzisz pani, że pióra literackie nie darmo w tej kwestyi orzą po papierze.

— Widzę, widzę, że panowie ładnie piszecie, że nawet nie jeden z was przejęty jest szczerze dobrem materyalnego podniesienia bytu kobiet, potrzebujących pracą dobić się tego bytu, lecz widzę i to, że dużo było gadaniny o buchalterkach, introligatorkach, rękawiczniczkach, pracowniczkach obuwia, drzeworytniczkach, retuszerkach, i t. p. przedstawicielkach wielu innych kierunków prac, którym siły i zdolności niewieście mogłyby podołać, a które istotną podstawą bytu być niewątpliwie mogą, ale powtarzam, że były to gadaniny tylko, bardzo szlachetne, ale bezowocne.

— Jakto proszę pani.

— Gdzież pan masz te buchalterki, te introligatorki, retuszerki, etc., etc.? Są, to prawda, alež w jakiej mikroskopijnej ilości. Jest podobno kilka buchalterek, kilka retuszerek licho płatnych, jest nawet warsztat obuwia damskiego, prowadzony przez kobietę, z efektowną firmą, lecz zapytuję pana, cóż to wszystko znaczy w obec tych ciągłych a szumnych zapowiedzi i w obec tak wzmagających się potrzeb, w skutek materyalnego upadku wielu rodzin powstałych?

— Nie przeczę pani, że potrzeby są wielkie, że rezultaty wielu usiłowań literackich i nieliterackich, filantropijnych i w ogóle dobrej woli ludzkiej są mikroskopijnych rozmiarów, a mogłyby i powinny być dotychczas większe; na to się z panią zgodzę, lecz któż temu winien, jeśli nie same panie?

— Już czuję, że pan wypalisz nam tu oracyę na temat reprymandy, na rozmiękczenie wychowania naszego, za zbytki, koki i fioki, stroje i mody, które przynajmniej dziewięć dziesiątych roku zaprzątają nam głowy.

— Tak jest, zgadłaś pani. Więc tedy rozumiemy się. Kobieta dzisiejsza jest ogromnie rozgrymaszonem cackiem.

— Rzeczywiście panie, cackiem, które ma na pierwszym planie piękną swą barwę; lecz bądźmy sprawiedliwi...

— Czyżbyś pani chciała to uniewinnić?

— Jeśli niezupełnie, to przynajmniej zmodyfikować winę, przez postawienie winowajcy rodzaju męzkiego obok winowajczyni i to w charakterze jej wspólnika.

— Teraz znów nie rozumiem pani.

— Dla kogóżto, proszę pana, kobiety dziś się malują, pudrują, stroją modnie, chodzą na szczudłach, etc., etc.?...

— Alboż ja wiem dla kogo?

— To ja panu powiem. Oto dla mężczyzny to wszystko robią, dla mężczyzny, ażeby mu się przypodobać, boście panowie strasznie zrobili się wybredni ostatniemi czasy.

— Już też aby pani nie mów, że dla mężczyzny. Zastanów się pani, co mężczyzna może mieć wspólnego z malowaną lalką na szczudłach...

— Jakto, a czyż mężczyzni nie prawią kobietom wykrygowanym mnóstwa komplementów, czyż nie skaczą przed niemi jak charciki na dwóch łapkach? Oczywista więc rzecz, że im się to podoba.

— I pani na seryo sądzisz, że to mężczyzni?

— A za kogóż mam ich brać? Chyba, że jaki nowy gatunek na podobieństwo mężczyzn wyrosł na kuli ziemskiej.

— Nie omyliłaś się pani, nowy gatunek, ale tylko *na podobieństwo* mężczyzny. Do tego gatunku należą zdechlaczki, fanfaroni, froterzy, próżniaki, półgłówki, głupcy, stępieni na umyśle i chwiejni na nogach, etc., etc. Jak pani widzisz, gatunek ten ma mnóstwo odmian i pysznie jest reprezentowanym we wszystkich u nas przybytkach próżniactwa. Gatunek ten rozmaicie się względem kobiet znajduje; jednym bowiem mówi komplementa, płytkie frazesy grzeczności i oklepane komunały salonowe, względem innych zaś znajduje się nieprzyzwoicie a nawet od nędznej zaczepki nie cofnie się nieraz. Dla niego każda kobieta jest niczem innem, jak malowanem cackiem, które uszkodzić bezkarnie można i uciec jak złodziej, bo nie rachuje się z wartościami moralnemi kobiety, co więcej, zdaje się, nie rozumieć ich, jak nie rozumie moralnego znaczenia kobieta. Jeżeli więc panie malujecie się, stroicie, przyprawiacie sobie ogony i chodzicie na szczudłach to tylko dla takich głupców z powyż zacytowanego gatunku, ale nie dla mężczyzn. Bo prawdziwy mężczyzna kocha prawdę, miłuje pracę a brzydzi się malaturą na twarzy, przypiętym ogonem i próżniactwem.

— Ale jakto mało takich mężczyzn, jak mało?

— Lepszy ryc jak nic, proszę pani. A wolę ja jednego zdrowego na duszy i ciele mężczyznę jak stu zdechlaczków.

— I ja także wolę.

— A widzisz pani. Nie dbajcie więc o zdechlaczków, a będziecie panie miały więcej czasu na rozumne zastanowienie się nad celem swoim i nad samoistnością materyalną, opartą na własnej pracy. A wtedy, będziemy

mieli i więcej kobiet fachowych i fach ich będzie rzeczywiście wykończonym i równie popłatnym jak mężczyzn. Bo dziś proszę pani to tak jest: Każda panna, która pragnie się nauczyć jakiego fachu, czyni to tylko w zamiarze użytkowania z tego fachu, w razie, jeśli jej się nie *trafi* pójść zamąż. Jeżeli zaś *trafi* się, uważa za zbyteczny każdy fach dla siebie.

— Takie zapatrywanie jest mylne, proszę pana, bo cóż jej szkodzić będzie, jeśli niezamożnemu mężowi przyjdzie pracą swoją w pomoc?

— Zapewne łaskawa pani, lecz fakt faktem, że tak dziś te rzeczy pojmują...

A że każda panna ma niewzruszony projekt pójścia za mąż, byle jej się ktoś trafił, więc szuka tego trafu. Jednocześnie więc i uczy się fachu jakiego i szuka trafu tego. A ponieważ więcej do gustu jej przypada trafienie na męża, więc lepiej spożytkować czas na szukanie trafu, jak na naukę jakiego fachu.

Stąd albo projekt nauki fachu pozostaje projektem, albo też ta nauka idzie koszlawo, bo głowa zawrócona trafieniem się pójścia za mąż.

Tu więc pani szukaj głównego źródła braku rezultatów usiłowań i dobrej woli, na początku powołanej, i braku wykończonych pracowniczek fachowych, które byłyby, naturalnie, lepiej płatne jak dotychczasowe pracowniczki o zawróconych głowach trafieniem się męża.

Gdyby więc, proszę pani, pojęcia o zamążpójściu jednoczyły się z pojęciem obowiązku pracy i pomocy mniej zamożnemu mężowi, wtedy panienka uboga, potrzebująca pracą dobijać się materyalnej egzystencyi, uczyłaby się fachu nietylko na przypadek *nie trafienia* się zamążpójścia, ale właśnie i w przewidywaniu tego upragnionego trafu, ażeby nietylko być osłodą męża ale i wspólniczką pracy. Wtedy proszę pani będziemy mieli więcej pracownic fachowych, lepiej płatnych bo uzdolnionych i nakoniec nie będziemy się uskarżać na taką posuchę matrymonialną.

Wtedy ludzie pracy nie będą się obawiać widma zbytku w kobiecie i śmielej stąpać będą do ołtarza drogą wspólności dążeń, a posag brzęczący nie będzie takim przedmiotem powszechnych gonitw młodzieży naszej.

— Amen.

* * *

Niejednokrotnie wołano, że latarnie gazowe w Warszawie tyle dają światła na ulicy, że trudno jest odróżnić kobietę od mężczyzny.

Towarzystwo dessauskie, jakby głuche na takie narzekania nic sobie z tego nie robiło. Zwróciła jednak na to uwagę Władza, która zarządziła dokonanie próby chemicznej gazu dessauskiego w Warszawie. I oto podajemy wyjątek z ogłoszenia w tej kwestyi zamieszczonego w „Kuryerze Warszawskim,“ a mianowicie:

„W uzupełnieniu prób z polecenia JW. Prezydenta Miasta w gabinecie folometrycznym Magistratu dokonanych, w celu oznaczenia siły oświetlającej gazu dostarczonego przez towarzystwo dessauskie, pan Napoleon Milicer w zeszłym miesiącu zrobił doświadczenie z tymże gazem na drodze chemicznej i znalazł, że pod względem czystości gaz nietylko odpowiada w zupełności warunkom kontraktu zawartego dla Warszawy, lecz nawet zadość czyni przepisom, jakie w tym przedmiocie w ostatnich czasach dla towarzystw gazowych londyńskich przyjęto. Rezultaty zatem prób dokonanych tak nad mocą światła gazu, jak i nad jego czystością przekonywają, że pojawiające się peryodycznie w miejscowej prasie narzekania na słabe światło gazu, nie są uzasadnione, a słabe oświetlenie Warszawy, pochodzi nie od złej fabrykacyi gazu, lecz od niedostatecznej liczby latarń gazowych.“

Nie pozostaje nam nic innego w obec takiego rezultatu prób, jak prosić Magistrat o zdublowanie liczby latarń gazowych.

* * *

Czytamy w Wędrowcu: „Literatura polska w Ameryce zaledwie od lat kilku zaczęła się rozwijać. Paczątki jej przedstawiają dla badacza ciekawe zjawisko, z tego mianowicie względu, że wszyscy piszący po polsku w Ameryce, prócz p. Juliana Horaina i Sygurda Wiśniowskiego, nie byli pisarzami w Europie, i dopiero w stanach Zjednoczonych wzięli się do pracy autorskiej, zmagleni do tego potrzebą życia umysłowego między kolonistami polskimi. Literatura polska nie jest więc w Ameryce rzeczą przywiezioną, ale produktem miejscowym, wyrosłym na gruncie amerykańskim. Nie mamy dość danych, abyśmy mogli skreślić dokładny obraz początków i rozwoju literatury polskiej w Ameryce. Ograniczamy się tylko na wypowiedzeniu faktu, że literatura polska w Ameryce istnieje i z każdym rokiem przybywa jej czytelników i autorów. Z autorów amerykańskich Polaków, nazwisko jednej pani Teofili Samolińskiej z Chicago, dzięki konkursowi dramatycznemu, który zalecił jej sztukę „Trzy Flory" do grania, stało się popularniejsze w kraju. W marcu r. b. w Chicago wyszedł „Elementarz czyli nauka czytania“, opracowany przez Władysława Dyniewicza. Pisma amerykańskie odzywają się o tym elementarzu z pochwałami. W Texas po szkołach rozrzucony jest „Elementarz“ napisany w 1866 r. przez Aramowicza w Szwajcaryi i wydrukowany w Zurychu. Cały nakład tego elementarza wysłano do Texas, w innych krajach jest on nieznany. W Chicago p. Władysław Dyniewicz posiada przy ulicy Noble Street Nr. 404 drukarnię polską. Jest w tem mieście inna jeszcze drukarnia Polska, w której drukuje się „Gazeta Polska Katolicka,“ wychodząca pod redakcyą Jana Beszyńskiego.

* * *

Niedawno na deskach Teatru Rozmaitości grano bluetkę pp. Lambert Thiboust p. t: „*Mąż pieszczony*“. Mąż pieszczony jest to sobie na dobre lekka farsa, która świadczy o posusze tematu u niektórych autorów francuzkich. Ba i cóż tam za rzecz? Jakiś mężulko imieniem Hipolit był tak pieszczony rozmaitemi łakociami i małżeńskiemi i kulinarnemi przez żonkę swoję, że aż nadszedł pewien piękny dzień, w którym mu się to przejadło i sprzykrzyło. Chciałby więc mieć mniej słodką, mniej mgławą, czyli gorszą od swej Cezaryny żonę. Żonka niechcący dowiaduje się o tem z dzienniczka męża i w ciągu kwadransa staje się tak złą jak tego sobie Hipcio życzył, nawet jeszcze gorszą. W końcu mężulek z dwojga złego wybiera pierwsze, i oto szczęśliwie kończy się rzecz cała. Publiczność się śmieje i paradyz klaszcze bez miłosierdzia. A dla czego? wszak to farsa prawie bez treści... Bezwątpienia klaszczą nie dla niej, lecz dla znakomitej gry panny Popiel i pana Szymanowskiego, gry, którą doprawdy wartoby użyć dla lepszej sprawy.

* * *

Jeszcze konkurs dramatyczny...

— Czyto nie Warszawski, ten co to już minął kochany publicysto?

— Nie łaskawy czytelniku, nie ten. O tym będziemy jeszcze mówić, bo jest bardzo interesującym, ale czekajmy wpierw na motywowane wyjaśnienie Komisyj Konkursowej...

— Więc o tym po tym...

— Tak jest, a tym czasem o konkursie Poznańskim. Zarząd tedy Towarzystwa Poznańskiego przyjaciół nauk ogłosił konkurs dramatyczny na następujących warunkach:

Pierwsza nagroda 1,500 marek czyli 750 zł. reń. za najlepszy dramat czyli komedyę. W braku jednak utworów bezwzględnie dobrych, summa powyższa podzieloną będzie na dwie części: 900 marek i 600 marek które przyznane będą najlepszym względnie utworom; sztuki niepremiowane nagrodą, otrzymać mogą pochwałę lub zalecenie do przedstawienia scenicznego. Z konkursu wyłączają się sztuki tłomaczone, grane lub drukowane, albo też takie które ubiegały się o nagrodę na innych konkursach dramatycznych, jak, w Warszawie, Krakowie i Lwowie. Wyłączenia nie znosi ani zmiana tytułu, ani przerobienie treści. I wtym celu Komissya Konkursowa zasięgnie wiadomości u wymienionych Komisyj Konkursowych.

Termina składania utworów naznaczono do dnia 1 kwietnia 1877 roku, na ręce p. Hieronima Feldmanowskiego w Poznaniu, przy ulicy Młyńskiej Nr. 35.

* * *

Trzeci i ostatni zeszyt pięknego wydawnictwa *Album Matejki*, wyszedł na widok publiczny, nakładem pana Lewentala.

* * *

Amatorom gorącego prysznica, szczególniej w lecie pożądanego, polecamy Akcyjne Łazienki na Zjeździe.

Wyobraź sobie czytelniku, wchodzisz do łazienki w cenie po pół rubla wanna i tam chcesz sobie użyć przed kompielą prysznica, umieszczonego nad porcelanową wanną.

Stajesz więc w wannie, odkręcasz kran i oto spada ci na głowę gorąca woda, wyraźnie

gorącą. Cóż za niespodzienka! No i niech mi kto powie, że w dziewiętnastym wieku cuda się nie dzieją, gdy zimna woda zmienia się na raz jeden w gorącą.

ZIEMIA PRZED POTOPEM.

(Dokończenie.)

Epoka czwartorzędowa.

W historyi geologicznej naszej planety z kolei przechodzimy do epoki czwartorzędowej, dotąd trwającej.

Dwa kataklizmy cechują głównie epokę czwartorzędową, a mianowicie: *potopy* i tak zwany *podokres lodowy.* W tymże czasie napotykamy niewątpliwe ślady pobytu człowieka na ziemi. Flora i fauna owoczesna zbliża się do typów dziś istniejących, chociaż niektóre gatunki, zanikły nabywając doskonalszego ustroju. Do zwierząt tej epoki dziś znikłych z powierzchni ziemi należą: Mamut (Elephans primigenius), Nosorożce z przedzielonemi nozdrzami (Rhinoceros tichorchinus), niedźwiedź jaskiniowy (Ursus spelaeus), tygrys olbrzymi (Felis spelaea) wół pierwotny (Bos primigenius), jeleń z rozłożystemi rogi (Cervus megaceros), wreszcie z ptaków: *Dinornis* i *Epiornis.* W czasie epoki czwartorzędowej, żyły w Ameryce zwierzęta bezzębne kolosalnego wzrostu, i osobliwszej budowy, jako to: *Megatherium, Megalonyx* i *Mylodon.*

Mamut wzrostem dochodził 20 stóp polskich wysokości, a kły jego miały 14 stóp polskich długości. Zwierz ten o podługowatej głowie, posiadał skórę pokrytą włosem długim, grzywa ozdabiała jego szyję i grzbiet, a trąba podobną była do cechującej słonie indyjskie, nogi wszakże miał krótsze, i całe ciało cięższem od słoni dziś istniejących.

Kości mniemanych olbrzymów znajdowane w rozmaitych miejscowościach należą do mamuta. Słynna relikwia w kościele Ś-go Krzysztofa w Walencyi, za ząb tego świętego poczytywana, okazała się być zębem trzonowym mamuta.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa często popełniano podobne błędy, od których zresztą nie jest wolnem nawet ostatnie stulecie. W 1789 roku księża z Saint-Vincent obnosili procesyonalnie po ulicach miasteczek i wsiach, dla uproszenia deszczu, ramię jakiegoś świętego, które rzeczywiście było kością udową słonia.

W 1564 roku wieśniacy w okolicach Walencyi, znaleźli kość skokową i ząb, które Cassanion poczytał za szczątki olbrzyma. Po zbadaniu ich Cuvier orzekł: że były to szczątki słonia, ząb miał stopę długości i ważył ośm funtów.

W 1700 roku, niedaleko rzeki Necker, odkryto całe cmentarzysko mamutów, samych kłów naliczono sześćdziąt, w Niemczech z tych szczątków preparowano leki, mające gubić gorączkę i boleści w żołądku uśmierzać. Nie powinniśmy się temu dziwić, wszakże jeszcze w ubiegłym wieku leczono sproszkowanem łajnem ludzkiem! W północnej Rossyi i Syberyi istnieje mnóstwo szczątków mamuta. Nazwa ta według jednych pochodzi od słowa arabskiego *behemot,* które w księdze Joba oznaczało *zwierza nieznanego,* prawdopodobniej jednak pochodzi od epitetu *mahemot,* nadawnnego przez arabów słoniom wielkiego wzrostu.

Przyrodnik ruski Saryczew, w północnej Syberyi znalazł całkowite zwłoki zagrzebane pod śniegiem. Było to w 1800 roku, a w sześć lat później, naturalista Adams zbadał inne szczątki mamuta, jeszcze pokryte włosem i grzywą znalezione przy ujściu Leny. Cesarz Rossyjski nabył od Adamsa skielet tego zwierza za sumę 8,000 rubli, i polecił okaz pomieścić w akademii petersburskiej.

W 1805 roku Potapow wykopał z pod lodów na pobrzeżu morza Lodowatego, zwłoki mamuta również dobrze zachowane.

Kły mamuta znajdowane były zresztą w wielu miejscowościach Europy, w Niemczech, we Włoszech i na drugiej półkuli świata.

Z tych wykopalisk wnosić możemy, że temperatura owoczesna Syberyi i północnej Europy była bardzo wysoką.

Obok mamuta w rzędzie zwierząt przedpotopowych pomieścić należy: niedźwiedzia jaskiniowego (Ursus spelaeus) nierównie większego od dzisiejszych i niedźwedzi brunatnych. Zwierz ten zamieszkiwał Francyę, Belgię, Niemcy, i północ Europy.

Współczesnym mu był tygrys olbrzymi (Felis spelaea) dwakroć większy od tygrysów dzisiejszych. Długość jego ciała dochodziła czternastu stóp, a organizacya przedstawiała połączone cechy lwa i tygrysa. Hyena plamista czwartorzędowa, odznaczała się nieco tylko większym wzrostem od hyeny dziś żyjącej w Afryce.

Konie, których pierwsze typy przejawiły się już w epoce trzeciorzędowej, istniały i w czwartorzędowej, lecz były mniejsze od ras obecnie istniejących. Woły owoczesne nieróżniły się prawie niczem od dziś żyjących.

W pokładach czwartorzędowych znachodzimy niemniej rozmaite gatunki jelenia. Zwierzęta tego rodzaju opatrzone rozłożystemi rogami (Cervus megaceros) żyły w Irlandyi w okolicach Dublina, we Francyi, Niemczech, Polsce i Włoszech, i stanowiły pośrednie ogniwo między jeleniami a łosiami. Przejdźmy teraz do wielkich zwierząt bezzębnych, właściwych Ameryce, do *Glyptodoxa, Megatherium, Mylodona* i *Megatonyza,* do fauny żyjącej się owadami i liśćmi roślinnemi. Dzisiejsze pancerniki i mrówkojady mogą nam dawać o nich pewne wyobrażenie. *Glyptodony* czwartorzędowe należały do rodziny pancerników, posiadały tarczę łuskowatą, twardą, osłaniającą ich głowę, ciało a często nawet ogon i pod tym względem przypominały żółwi. Zwierz ten miał w każdej szczęce górnej i dolnej po szesnaście zębów.

Megatherium należało do leniwców a raczej pośredniczyło między niemi a pancernikami, szczątki jego znaleziono w Paragwaju. Zwierz ten miał budowę ciężką i dziwaczną, żywił się wyłącznie liśćmi drzew i rozkopywał ziemię, aby w niej znaleść pokarm i schronienie. Wielkością dorastał słonia, długość jego ciała wynosiła 14 stóp, wysokość 8 stóp, zresztą posiadał ryj przypominający tapira. Kręgi ogonowe *Megatherium* wskazują, że ta część ciała posługiwała za podporę olbrzymiemu rozwojowi jego organizmu. Ogon był straszliwą bronią odporną tego zwierzęcia, a potężne pazury ułatwiały mu chód po grzękiej ziemi Kość udowa *Megatherium* była trzy razy grubszą niż u słonia, a całe ciało odznaczało się niepospolitą ciężkością i siłą; w ogóle *megatherium* przewyższało objętością ciała wszystkie zwierzęta bezzębne, dziś istniejące. Głowa jego i łopatki podobne były do napotykanych u leniwców, a nogi i stopy przedstawiały połączone cechy ustroju mrówkojadów i pancerników. Zwierz to był olbrzymi, przeszło 5 stóp wysokości dorastający, uzbrojony potężnemi pazurami. Ciężkie jego ciało nie pozwalało mu na chód szybki, z trudnością też pełzał po ziemi. Nie lękał się też ten kolos nieprzyjaciół, gdyż jednem uderzeniem ogona mógłby powalić krokodyla. Nie dosięgały go też pociski zwierząt mu wrogich — żył swobodny i spokojny w obszarach Ameryki.

Mylodon budową zbliżał się do leniwców, zamieszkiwał wyłącznie Amerykę, żywił się roślinami, zresztą różnił się tylko od *Megatherium* mniejszym wzrostem i ustrojem zębnym.

Jefferson, były prezydent Stanów Zjednoczonych, jeden z najuczeńszych mężów, opisał szczątki olbrzymiego leniwca, znalezione w pewnej jaskini wirgińskiej i nazwał ten gatunek *Megalonyx.* Zwierz ten, którego całkowity skielet wykopano później w Missisipi, przerastał wielkością wołu. Pysk wązki, przedłużony, szczęki uzbrojone zębami walcowatemi, członki przednie dłuższe od tylnych, dwa palce grube, krótkie, opatrzone długiemi i mocnemi pazurami, a trzeci wskazujący cieńszy z mniej silnym pazurem, ogon krzepki — oto są główne cechy organizacyi *Megalonyxa.*

Wymieniliśmy tu wybitniejsze typy zwierząt ssących epoki czwartorzędowej. Z pośród ptaków kolosalnym wzrostem, przechodził wszystkie inne *Dinornis Nowozelandzki,* co możemy wnosić z jego kości goleniowej, która dosięga do $3\frac{1}{2}$ stóp długości, i z jaj daleko większych od tych jakie składają strusie. *Epiornisa* nie znaleziono dotąd w stanie kopalnym, a tylko jego jaje.

Najczęściej napotykamy szczątki mamuta i konia w pokładach czwartorzędowych, co dowodzi, że naówczas zwierzęta te żyły w nieprzeliczonych stadach, a nadto jest wielce prawdopodobnem, że od bieguna, do bieguna ziemia przedstawiała naówczas jakby jedną nieskończoną łąkę — jeden kobierzec zielony, przyodziewający wszędzie jej powierzchnię. Było to bogate pastwisko, mogące wyżywić milionowe armie zwierzęce.

W temperaturze właściwej dziś Afryce, wpośród traw bujnych włóczyły się wielkie zwierzęta gruboskórne, łagodnych obyczajów, w lasach jelenie z rozłożystemi rogami, olbrzymi mamut i rączy koń, żyły obok siebie w zgodzie. Ciszę tego świata zwierzęcego zakłócały tylko: rozbójniczy tygrys, lew, niedźwiedź, szakal i hyena tropiące żywą zdobycz,

którą rozdzierały dla nasycenia się krwią i mięsem zamordowanych ofiar.

Potopy Europejskie.

Na pokładach trzeciorzędowych w wielu miejscowościach Europy, znachodzimy warstwę różnorodnych szczątków, zapełniających doliny. Warstwę tę składają ułamki oderwane od skał przyległych gwałtownem działaniem wody. Potężne fale potoków wodnych, przerzucając się w doliny, unosiły z sobą wszelkie materyały pochwycone ich prądem, i osadzały je następnie po ustąpieniu kataklizmu. Nadajemy tym osadom nazwę *diluwialnych*, czyli napływowych, i dzielimy epokę czwartorzędową na dwa okresy: *diluwialny*, to jest *napływów dawnych* i *aluwialny*, czyli *napływów nowych*. Gwałtowne przejścia potoków wodnych nazywamy *potopami*. Jakiej przyczynie mamy przypisać kataklizmy potopowe? Oto wytworowi gór wyformowanych w sąsiedztwie mórz, lub w samej kotlinie morskiej. Wyparte z wnętrza ziemi wyniosłości górskie, wstrząsały morzem, które wyrzucało potężne snopy wody, zalewające niziny z niszczącą siłą. Konglomeraty, czyli zlepieńce, są najwidoczniejszym dowodem tego rozburzającego działania wód, wywartego na lądy. Trzy główne potopy zawichrzyły naszę półkulę w ciągu epoki czwartorzędnej, a mianowicie dwa *Europejskie* i jeden *Azyatycki*.

Pierwszy potop europejski wywołany został wyniesieniem się gór Norwegskich. Potoki wodne rzucając się ze Skandynawii, niszczyły w przechodzie Szwecyę, Norwegię, Rossyę Europejską i północne Niemcy. Potop skandynawski zasłał odłamami skał i lodowcami wszystkie niziny Europy północnej. Najwyrazistszem świadectwem potopu skandynawskiego, są pokłady gruntu lekkiego, pokrywające dziś wszystkie równiny i doliny na północy Europy. W osadach tych znachodzimy często tak zwane *głazy błędne* czyli *naniesione*, dochodzące nieraz niepospolitej objętości. Do takich głazów należy bryła granitu znaleziona w Rossyi, służąca za piedestał pomnikowi Piotra Wielkiego w Petersburgu. W głębi Rossyi ziemię składa przeważnie utwór permski, stąd obecność głazów granitowych może być tylko wyjaśnioną napływem wód diluwialnych, unoszących powyższe głazy. Takim niemniej jest odłam granitu, ważący 30,000 kilogramów, znaleziony w Prusach północnych, którego część złożono w muzeum berlińskiem.

Zwłoki króla szwedzkiego Gustawa Adolfa, który zginął w bitwie pod Lutzen, w 1632 roku, spoczywają pod *głazem błędnym*. Pomnik wzniesiony Leopoldowi Buchowi w Niemczech, złożonym jest również z kamienia naniesionego norwegskiego.

Głazy błędne, nazywane u nas *kamieniami polnemi*, napotykamy w Rossyi, Polsce, Prusach, a nawet w niektórych wschodnich częściach Anglii; pochodzenie ich, jak widzimy, jest całkiem obce tym stronom. Jakże straszliwej potęgi musiała być siła wody, unosząca te olbrzymie rumowiska skał, tocząca je z Norwegii, przez Bałtyk, w miejsca, gdzie ich dziś ze zdumieniem spotyka wzrok geologa!

Drugi potop europejski był wynikiem wydźwignięcia się Alp, i zapełnił rumowiskami skał, doliny Francyi, Niemczech i Włoszech, a to w promieniu, którego środkiem są Alpy. Dwa tu uwyraźniają się skutki, pochodzące z gwałtownego parcia wód wyrzuconych z łożyska przez wynoszenie się wyniosłości górskich. Najpierw wody diluwialne powyżłabiały głębokie doliny, a następnie doliny te zasłane zostały kamieniami górskiemi, zaniesionemi na płaszczyzny, mułem gliniasto-piaszczystym, w którym obok tego znachodzimy cząstki wapna i żelaza. Ten podwójny proces ujawnia się zwłaszcza w wielkich dolinach środkowej i południowej Francyi. Tuluza spoczywa na wzgórzu diluwialnem i na takimże utworze starożytny kościół Partenonu w Grecyi. W dolinie Renu, w Alzacyi, w górach Czarnego Lasu i w Wogezach, oraz w wielu innych miejscowościach Europy, znajdujemy pokłady diluwialne odmiennego składu od zwykłych temu utworowi, a mianowicie złożone z mułu szaro-żółtawego, w którym napotykamy materyę gliniastą, pomieszaną z węglanem wapna, piaskiem kwarcowym, mikowym i tlenkiem żelaza.

Najwięcej szczątków pochodzących z epoki diluwialnej, znajdujemy w jaskiniach, czyli jamach wyżłobionych w skale i kilka stóp głębokości mających. Jaskinie kostnicowe składają się zwykle z kilku przedziałów, komunikujących się z sobą wązkiemi otworami, do których można się dostać jedynie pełzając na brzuchu. Tego rodzaju jaskinia istniejąca w Meksyku, ma kilka wiorst długości. Z groty frankońskiej Gailenreucht w Bawaryi i z jaskini Baumanna na Hratzu, wydobyto mnóstwo kości kopalnych. Zwykle kości te należą do niedźwiedzia, hyeny, lwa, tygrysa, mamuta lub nosorożca z okresu diluwialnego, do których dołączyć należy szczątki rosomaka, wilka, szczura wodnego, zająca i zwierząt trawożernych. Przyczyna obecności kości zwierząt kopalnych jest łatwą do zrozumienia. Zwierzęta zranione, lub słabe, przychodziły do jaskiń, aby w nich zakończyć życie. Dziś jeszcze rzesze zwierzęce czynią toż samo, dlatego też rzadko się zdarza napotkać ich zwłoki w polu, lub w lesie. Obok tego potoki wód diluwialnych zanosiły szczątki zwierzęce do jaskiń i stąd tak znaczną ich ilość w tych miejscach znajdujemy. Wypada nam przyjąć z wieli naturalistami, że jaskinie potworzyły się wskutek oziębiania się skorupy ziemskiej, gdyż wówczas formować się musiały w niej rozpadliny — według innej hypotezy, potoki diluwialne wydrążyły jaskinie czwartorzędowe. Nie obala to bynajmniej pierwszego przypuszczenia, gdyż istnieją jaskinie jurasowego i sylurycznego utworu, a więc w ich wytworze potoki wodne nie mogły mieć żadnego udziału. Do jaskiń sylurycznych należy tak zwana *grota panieńska*, istniejąca niedaleko Gangesu.

Podokres lodowy.

Potopy były straszliwym kataklizmem dla rozwoju na niej życia organicznego, które naturalnie tu i owdzie uległo znicestwieniu. Katastrofy te wszakże minęły i jestestwa ziemkie zaczęły znów odzyskiwać spokój, gdy nastąpił nowy przewrót geologiczny.

Europa środkowa i północna od Skandynawii do morza Śródziemnego i Dunaju, uległa wielkiemu obniżeniu się temperatury. Cały ten płat ziemi pokryty został płaszczem lodowym i śnieżnym.

Potrzeba przyjąć, że przyczyną tego zjawiska było słońce, które przez pewien czas utraciło właściwy mu stopień ciepła. Astronomia nas uczy, że słońce jest gwiazdą. Owóż gwiazdy doznają zmian w blasku, zmniejsza się ich siła promieniowania, a następnie po upływie pewnej liczby lat odzyskują blask pierwotny. Obniżenie się więc temperatury na ziemi w czasie podokresu lodowego, pochodziło bezwątpienia z przechodniego oziębienia się słońca, obdarzającego ziemię ciepłem i życiem. Z kolei słońce odzyskało zwykłą mu siłę promieniowania, a tem samem ziemia wróciła do dawnego stanu. Taką tylko hypotezą możemy sobie wyjaśnić dziwny kataklizm podokresu lodowego.

Wyobraźmy sobie, jakie to straszliwe skutki wystąpiły wówczas, niszcząc życie organiczne w północnej i środkowej Europie. Wszystkie rzeki, jeziora, morza zamarzły. Agassiz w pierwszem swem dziele o lodowcach, tak się wyraża: „Wszystkie strumienie znikły, wszystkie rzeki przestały płynąć. Rozległy kobierzec śniegu i lodu pokrył płaszczyzny, doliny, morza i płaskowzgórza. Miejsce wrzącego ruchu życiowego zastąpiło milczenie śmierci. Miliony mamutów i nosorożców wyginęło na pastwiskach przetworzonych nagle w obszary lodowe, a ponure wycie wiatru północnego, było pieśnią pogrzebową dla jestestw, które nie mogły wyżyć w tych warunkach. Prawdopodobnie człowiek już istniał wtedy, a kryjąc się w jaskiniach, zabezpieczony futrem zabitych zwierząt, przetrwał ten kataklizm straszliwy. O istnieniu tego podokresu w historyi naszej planety, przekonywają nas najlepiej lodowce, jakie zwłaszcza w Alpach napotykamy. Szczątki ich są zaledwie słabem wyobrażeniem lodników diluwialnych, które niegdyś zaścielały całe pasmo gór Alpejskich.

Wypada nam teraz podać objaśnienie formowania się lodowców.

Śniegi spadające w ciągu roku na góry, nie stapiają się lecz utrzymują w stanie stałym i gdy góry przechodzą wysokość 10,400 stóp polskich—śniegi te nagromadzone w dolinach skupiają się i twardnieją. Pod wpływem zaś ciśnienia wywieranego przez ich ciężar i w skutek krążenia w ich masie pewnej ilości wody pochodzącej z chwilowego topnienia warstw wierzchnich, przetwarzają się w masę krystaliczną. Z kolejnego topnienia i zamrażania się śniegu, w skutek upałów dziennych i chłodnych nocy, wytwarza się lód jednorodny lazurowy zapełniony małemi bańkami powietrza. Wreszcie ta masa zamraża się zupełniej, woda zastępuje miejsce baniek powietrznych, lód przedstawia się oku w postaci błękitnych kryształów i pociąga swemi czary wędrowców przebiegających Szwajcaryę i Sabaudyę.

W ten sposób wytworzyły się lodowce Alpejskie, które przytem obdarzone są pewnym ruchem po spadku gruntu, gdyż prze-

noszą i posuwają się z miejsca jednego na drugie. Lodowiec naprzykład Aaru w Szwajcaryi, posuwa się corocznie o 246 stóp polskich, pod wpływem spadku gruntu, ciężkości lodowiska i cząstkowego stapiania się jego w warstwie dotykającej ziemi, lodowiec usiłuje ciągle posuwać się dalej. Z drugiej strony w skutek otaczającej temperatury, przedni jego kraniec stapia się nagle, a tem samem lodowiec cofa, owóż różnica wynikająca z dwóch tych wpływów, stanowi rzeczywisty ruch postępowy lodowca. Lodowce posuwając się pozostawiły na skałach o które ocierały się ślady swego pochodu. Skały te są w tych miejscach wygładzone, wyrównane, zaokrąglone i zawsze zrysowane w jednym kierunku, to jest w tym, w którym posuwał się lodowiec.

Inne jeszcze zjawisko odgrywa ważną rolę w historyi lodowców tak dzisiejszych jak i tych, które pokrywały niegdyś Szwajcaryę. Chcemy tu mówić o wielkich odłamach skał unoszonych przez lodowce w ich ruchu postępowym.

Granitowe szczyty Alp ulegają rozkładowi w skutek połączonego działania powietrza i wody, skały tak rozłożone odrywają się i spadają z trzaskiem, niekiedy w potężnych bryłach, tworząc wśród lodowców rumowisko.

Nawet wśród lata takie głazy odrywając się od wierzchołków Alp, tworzą na śnieżnym pasie długą brózdę, złożoną z ogromnych łomów, i mniejszych kamieni. Bryły większe w Alpach napotykane, często dochodzą 70 stóp polskich długości, szczątki te gromadząc się coraz więcej, utworzyłyby w końcu skupienie, z powodu jednak ciągłego posuwania się lodowców, odłamy te wraz z niemi zmieniają miejsce. Zresztą to skupienie powiększają nowe szczątki skał spadających i w ten sposób formuje się długi sznur rumowiska, zwanego przez geologów *moreną*.

Jedynie tylko wpływy atmosferyczne mogą rozkruszać te bryły i zmieniać ich postać pierwotną, owóż te moreny są najwyraźniejszemi wskazówkami ruchu lodowców, a zarazem dowodzą istnienia niegdyś lodowców w tych miejscach, w których moreny znachodzimy. Gdzie tylko napotykamy *głazy błędne*, *moreny* i skały przyległe *zrysowane*, nie ma żadne wątpliwości, że tam istniały starożytne lodowce.

Według badań Mortilleta, w okresie diluwialnym na północnym stoku Alp, rozciągał się *lodowiec Penu*, obejmujący całą kotlinę jeziora Konstancyeńskiego i wkraczających do Niemczech. Dalej istniał wówczas lodowiec *Linth* docierający do jeziora Zurychskiego, wreszcie lodowce *Roussu*, *Auru*, *Arwe*, *Izery*, *Rodanu*.

Na południowych stokach Alp, lodowce diluwijalne według Mortillet'a zajmowały wszystkie wielkie doliny od Doire na zachodzie aż do Tagliamento na wschodzie.

Ślady starożytnych lodowców napotykamy w całej Europie północnej, w Rossyi, Islandyi Anglii, Irlandyi, Prusach, a w części i w Niemczech. W Anglii znajdywane głazy granitowe pochodzą z gór Norwegskich. Widocznie te skały przenosił lodowiec rozciągający się od bieguna północnego aż do Anglii.

Istnienie skorupy lodowej pokrywającej niegdyś okolice Europy, dziś przyodziane bujną roślinnością łatwo wyjaśnić, nie przyjmując nawet hypotezy zimna nadzwyczajnego. Obniżenie się o kilka stopni temperatury średniej, mogło wytworzyć tenże sam skutek. Na podstawie niezaprzeczonych śladów istnienia lodowców diluwialnych w Europie, rozciągających się od bieguna północnego do Włoszech i Dunaju, nazwaliśmy tę fazę w dziejach geologicznych, z naszej ziemi—*podokresem-lodowym*. Wyjaśnia on nam przyczynę znikania mamutów i nosorożców, których zwłoki znajdujemy w Syberyi.

Azyę w owym czasie spustoszył potop. Dwie rzeki Kuitimba i San-Pedro, cofając się ze swych łożysk, zalały płaszczyznę zajmowaną dziś przez Yorullo. Rozwarte czeluście ziemi pochłonęły ich wody, które wystąpiły na zachodzie w punkcie wielce odległym od ich starożytnego łożyska.

W czasie epoki czwartorzędowej, wytworzyły się po osadach diluwialnych, tak zwane *aluwialne*, to jest z mułu rzecznego wyformowane.

Utwory czwartorzędowe nachodzimy w Sycylii od strony Girgenti, Syrakuzy, Katany i Palermo, zajmują one środek tej wyspy, dosięgając 3,120 stóp wysokości.

Formacyę tę tworzą dwa uławicenia, z których jedno składa się z glin i margli błękitnawych, drugie z wapieni zbitych.

Też same pokłady istnieją w Sardynii i Malcie. Pampasy Ameryki południowej złożone z ziemi gliniastej brunatno-czerwonawej, i tufu wapienistego, należą do warstw diluwialnych.

Piaski Sahary i stepy Rossyi wschodniej, równie jak żyzne jej prowincye południowe, słynne z ziemi urodzajnej, są tegoż pochodzenia.

Warstwy aluwialne są wszędzie dziś pospolite. Najwybitniejsze ich napływy znachodzimy na zachodzie Norwegii i pobrzeżach Anglii, tudzież przy ujściu wszystkich większych rzek, jako to: Nilu, Renu, Dunaju, Wisły. Tworzą one wielkie trójkątnowe wyspy zwane *deltami*.

W czasach nam współczesnych powstają rozległe pokłady *tufu wapiennego* czyli *martwicy*. Strumienie osadzają ten węglan wapna, pokrywający wszelkie przedmioty znajdujące się w wodzie, i przedstawiający się w postaci gębczastego miękkiego kamienia, twardniejącego w powietrzu. Tego rodzaju kamień, zwany *trawertynem*, znajduje się w pobliżu Rzymu. Gajzery Islandyi i źródła gorące Karlsbadu osadzają tuf krzemionkowy. Do utworu tego należą jeszcze pokłady torfu, zalegające niziny Prus, północnej Polski, Hanoweru, Danii i Holandyi. Najrozleglejsze pokłady torfu znajdujemy w dolinie *Nowotargskiej*, pod Tatrami, w obwodzie Sądeckim, gdzie ciągną się pasem na trzy mile długim, a na wiorstę szerokim. W gubernii Warszawskiej i Kaliskiej i w Stopnickiem napotykamy torfy w warstwach dochodzących 20-tu stóp grubości. Próchnica, czyli tak zwany *humus*, tworząca wierzchnią warstwę na powierzchni kuli ziemskiej, jest niemniej wytworem diluwialnym.

Wznoszenie się i obniżanie gruntu jest zjawiskiem geologicznem, zachodzącem za dni naszych, według spostrzeżeń Leopolda Bucha, całe pobrzeże Szwecyi i Norwegii wznosi się o 4 stóp w ciągu wieku, a to poczynając od Soelvitsborga do Torneo i Abo. Jednocześnie południowa Szwecya obniża się w tymże stosunku, jak to zaobserwował Nilson, uczony szwedzki.

Ślady istnienia człowieka znajdujemy już w epoce trzeciorzędowej, lecz wyrazistsze typy ludzkie przejawiają się dopiero w okresie diluwialnym. Współczesny mamutom zbroił się on w broń krzemienną, walczył o byt i z tych zapasów wyszedł zwycięzcą. Ciężkie były to chwile w jego życiu. Przebywał w jaskiniach dla zabezpieczenia się od napaści zwierząt i wpływów klimaterycznych, które w podokresie lodowym wyniszczyły mnóstwo gatunków zwierzęcych na ziemi.

Człowiek przetrwał jednak bohatersko te kataklizmy i siłą umysłu zapanował nad całą przyrodą.

NIEWOLNIK.

Szkic powieściowy.

(Dokończenie.)

Puszczamy mimo potok czasu. Po latach niewielu przychodzimy znów odwiedzić naszego „niewolnika.“

Godziż się tak go nazywać? On taki szczęśliwy! Nie jest-że szczęśliwy, kto zdołał tyle stworzyć co tu w Sękowicach stworzono? Wszędzie myśl i praca wyżłobiły radosne ślady. Tu postać rzeczy nie zadawalająca już, lecz przepyszna. Na co oko zwrócisz, wszystko, jeśli nie w stanie doskonałości, to dąży do niej całą siłą.

Niwy uprawne wzorowo, na polach bogactwo i porządek. Drogi pod sznur wyciągnięte, obsadzone młodemi drzewkami. Wieś, jakby zapatrzyła się na dwór, pełna ładu, zamożności i czystości. Kościół piękny w miejscu drewnianego; obok szkoła, zamiast pijackiej karczmy, schludna i obiecująca oberża. Ale przejdźmy do dworu. Tu pałacyk piętrowy w miejscu dawnej rudery dworu, mnóstwo murowanych zabudowań, z po za drzew zakład fabryczny bucha dymem z wysokiego komina. Lekka, gustowna kolumnada półkolem łączy pałacyk z włoską kaplicą; na stawie biała statua świeci wśród zieloności, wiszący mostek łączy wysepkę z brzegiem ujętym w obmurowanie, otoczony bulwarem, pełnym krzewów i kwiatów.

Przebiegłszy wykwintnie urządzony dziedziniec, kamienne stopnie wiodące do pałacowej sieni, docieramy do obszernego gabinetu Karola. Jaki ruch, jakie życie w tym przybytku pracy wyglądającym na salon, kantor, muzeum i bibliotekę zarazem. Kilku interesantów otacza Karola; obliczają, naradzają się, piszą; wychodzących zastępują inni, ten człowiek zdaje się żyć tylko rozlicznemi sprawami swych czynności.

Swobodna wreszcie nastąpiła dlań godzina, został sam, zatopiony w papierach i rachunkach nagromadzonych na biurku. Pod tę

chwilę bocznemi drzwiami wszedł dawny nasz znajomy, poczciwy Bonek. Wyświeżony i swobodny jak zawsze, jedyną zmianą w nim jest, lekka przymieszka szronu we włosach po stronach głowy i w strzępiastej brodzie. Wszedł na pogawędkę widocznie ale widząc Karola zajętym jeszcze, usiadł po za nim na fotelu i lekko bujając się, zaczął czytać jakiś dziennik. Karol po chwili odsunął się od roboty i plecami oparł się o poręcz siedzenia. Znurzenie głębokie maluje się na przestarzałej jego twarzy, w oczach i na czole, natężenie woli broniącej się przed jakąś zastraszającą myślą. Zamyślił się, pochyliwszy głowę na piersi.

— No, cóż tam słychać nowego? odezwał się Bonek, odrzucając dziennik.

— Nic.

— Ha, bywasz zmęczony tym ruchem ciągłym, tą działalnością przyśpieszoną, ciągnął stryjaszek, a to właśnie jest moim najmilszym żywiołem. Odkąd jestem u ciebie, czuję się młodszym, gdzieindziej już dawno skwaśniałbym i zamarynował się. Szlachta goła, kurczy się, za piec schowaćby się rada, a u ciebie ruch, życie — to lubię, człowiek nie ma czasu na nudy.

— Cóż tam panie porabiają? Są goście? zapytał Karol.

— Goście zwyczajni. Panie niedawno wróciły z przejażdżki, przebierają się na wieczór bo spodziewamy się licznego towarzystwa. Dziś uradziliśmy właśnie, mówił Bonek po chwili milczenia, że jeżeli Kamilce nie uda się wyciągnąć cię do wód, ja im będę towarzyszył. Karol milczał, stryj spojrzał nań badawczo. Czy czasem nie list pani matki cię kłopocze? zapytał.

— O nie. Nic mię tak dalece nie kłopocze, znużony tylko jestem. Matki wymagania i wyrzuty są słuszne; moja wina, że w porę nie mogłem zgromadzić potrzebnej sumki.

— Poczciwa Kamilka martwi się twem roztargnieniem, tym nawałem twoich zajęć, skarżyła się dziś, że zawiele czasu poświęcasz na pracę, za mało dla wspólnego szczęścia.

— Biedne dziecko! nudzi się zapewne! To mówiąc Skarzycki, wstał rozpogodzony nieco, i wskazawszy stryjowi jakiś ciekawy artykuł w gazecie, wyszedł. Bonek straciwszy ze słuchu kroki siostrzeńca wstępującego po schodach, porzucił gazetę i śpiesznie zbliżył się do kantoru, by rozpatrywać rachunki. My nie śledząc już za rezultatem jego badań, udajmy się za Karolem na górę.

Po kobiercach przebiegłszy kilka gustownie i z przepychem umeblowanych pokoi, Skarzycki odsunął zasłonę drzwi wiodących do pokoju żony. Lekki okrzyk towarzyszył jego wejściu. Młoda kobieta w białym peniorze z zaplecionemi w warkocze włosami, ciemnym potokiem rozpływającemi się po plecach, podbiegła na spotkanie męża z żywością i rumieńcem na twarzy zarzuciła ręce na jego ramiona, ale on nie dosłyszał wesołego jej szczebiotu, dostrzegłszy z jak nienaturalną szybkością znajdujący się w tym pokoju kuzynek Karpowicz, zajął miejsce przy oknie. W śmiałem, życzliwem wejrzeniu kuzyna był ślad wyrazu, który dreszczem przejął Karola. Czyste, przymglone czułością oczy Kamili, błyszczące tuż przy jego twarzy, te różowe, w pół uchylone uśmiechnięte usteczka jej, to gładkie czoło ujęte w ramę bujnych czarnych włosów, wszystko to, Karolowi wydało się na raz straszne, przerażające, z jakimś mimowolnym wstrętem wysunął się z pod obnażonych alabastrowych ramion kobiety, na których zdawało mu się, że widzi rumiane piętna pocałunków. Zachwiał się i usiadł, całą siłą tłumiąc oznaki odebranych wrażeń.

— Aha, wyrzekł przypominając sobie dopiero co przebrzmiały szczebiot Kamili, spodziewacie się gości. To bardzo dobrze. Oktawa imienin twoich. Prawda, prawda, byłbym o tem zapomniał. To bardzo przyjemnie....

— Czyś ty nie słaby czasem?

— O nie...

— Tak pracujesz ciągle! Oszczędzać się trzeba drogi Karolku. Ach, właśnie Kostuś pomagał mi układać bukiet....

— I pokazało się, że nie mam gustu! Doprawdy że jestem obrażony takim zarzutem, wołał kuzynek, przerzucając w kwiatach.

— Odchodzisz, rzekła Kamila do męża.

— Chciałem się przejść... Myślałem żeś już ubrana. To nic, to potem. Mam jeszcze zajęcia....

Karol w osłupieniu zeszedł ze schodów, bezwiednie wyszedł na ogród, błądził po ulicach. Uwagę jego ocucił dopiero mały synek, bawiący się w ustroniu. Niańka spała opodal. Chłopczyk spostrzegłszy ojca, zaczął doń coś gruchać, uśmiechać się i rączki wyciągać. Maleńkie biedactwo zawalane było w pyle, główkę miało posypaną piaskiem, buzię umorusaną w ziemi. Ojciec wziął go na ręce, usiadł na kamieniu, obtarł mu chustką rączki i twarzyczkę, otrzepał jego sukienkę, starał się uśmiechnąć do dziecka. Chłopczynie z łatwością to przyszło, radośnie zaczął się bawić z brodą i wąsami ojca; wpatrując się ciekawie we wzuszoną, bladą twarz jego. Skarzycki jakby zawstydził się swej twarzy odbitej w przejrzystych źrenicach aniołka, ucałował go i zsadził na ziemię. Dziecię zaczęło kwilić.

Zbudziła się ospała niańka i z przestrachem na widok pana przybiegła do wychowańca.

— Zanieście go, zanieście go do matki, wyrzekł Karol. Albo nie, nie zanoście go, tu niech się bawi.... Wy tylko nie śpijcie, dziecko może sobie zaszkodzić...

Błądził dalej po ogrodzie, zdawał się kryć przed ludzkim wzrokiem, wyszedł na pole, w parę godzin dopiero wrócił, już pewnym śpiesznym krokiem. Bocznemi drzwiami wszedł do ustronnego swego pokoju. Tu najprzód obejrzał pistolety spoczywające w skrzynce przy łóżku, a potem pilnie krzątać się zaczął. Wniósł do swej sypialni książkę rachunkową, dobył z biórka plikę dokumentów i przeglądał, notował, układał. Doprowadziwszy do porządku papiery, z ponurą stanowczością przeszedł się po pokoju i usiadł znów do pisania.

„Janie, pisał, nie odzywałem się do ciebie, bom czynami nie słowy, pragnął przemawiać; dziś gdy wszystko się kończy, odzywam się po raz ostatni zapomnianemi już przez ciebie zapewne słowami przyjaźni, sponiewieranej przezemnie tak, jak całe życie moje. Ustałem, zwikłany w pęta, wyczerpany do dna, odchodzę od pracy nad siłę, gdzie już nic zdziałać nie mogę, chyba zawstydzonem czołem świecić przed światem. Potępią mię wszyscy, ty mię nie potępiaj, i niech nie potępia siostra twoja. W ostatniej mojej chwili wydaje mi się, że razem z wami rozmawiam wieczorną godzinę. Powieść moja prosta, nie będę jej stroił w tragiczną sukienkę.

„Chciałem żyć i myśleć jak wszyscy, tylko lepiej i wyżej, wiarę wcielić w czyny, dotychczasowość zjednoczyć z przyszłością, okoliczność zgodzić z drogą mych dążeń, służąc wiernie temu co jest i jak jest, osięgać to co będzie i być powinno. Czułem że sam jestem, okropnie sam na mej drodze, alem się bał samotności jak dziecię, bo czułem się na to za słaby. Chwytałem się więc koniecznie ludzi chwytałem się choćby urojeń. I wziąłem w pomoc wiarę. Wiara jak sen ukołysany marzeniem uciekała przedemną w życiu. Chwytałem ją, chwytałem choćby za strój szaty, napróżno. Serc ludzkich szukałem, cieszyłem się odnalezionemi jak dziecię, okazały się puste lub zatrute. Zyskałem materyalną pomoc, ta przygniatała mnie ciężarem zaciągniętych obowiązków. Ale miałem mówić prosto! Otóż aby mieć możność działania, ożeniłem się bogato. Żonę moję wkrótce poznałem jako dziecię, dobre, lecz próżne; zbytek był jej potrzebą, a przecież potrzeby jej pierwsze były przed mojemi. Ja również uderzyłem w zbytek prac, przedsięwzieć, aby w nich zrównoważyć marnotrawstwo, aby nimi powetować straty i takowe okupić. Równowaga okazała się urojeniem. Zobowiązania względem rodziny, wymagań towarzyskich, pochłaniały więcej niż mogłem wystarczyć. Ujrzałem się rychło w stanie kapitana okrętu, słyszącego jak wszystkie wiązania drżą, mocując się z burzą... Walczyłem całą siłą, sumiennie powiedzieć mogę, że dzielnie wierzyłem w miłość mej żony, przez którą potrafię ją nakłonić do moich widoków, a serce moje w tej miłości miało ostatnią otuchę i podporę. I ta ustąpiła; poznałem nikczemność jej, w najkrytyczniejszej chwili. Pierwszym moim zamiarem było zabić podłego zdrajcę, ją zabić... Szaleństwo śmieszne! Alboż płaz winien że jest płazem? Ustąpię sam. Obliczywszy się ściśle nie przyniosłem im szkody, majątek tej.... nazwać mi jej trudno, zostanie nie tknięty. Ustąpię, nic już zdziałać tu nie mogę, życie zbyt ciężkie. Ale zostawiam dziecię, oni zeń zrobią potwora, lub podobnego mnie niewolnika. Janie błagam cię! Heleno błagam cię! weźcie do siebie to dziecię, nie dajcie mu zginąć, uczyńcie z niego człowieka. Prawo może wam stanie na przeszkodzie, udajcie się do drogi łaski, wyproście tego biedaka, niech go nie strują! Niech będzie prostym robotnikiem, niech będzie najuboższym, ale niech będzie samoistnym człowiekiem! Błagam was o to choćby w imię litości.“

— Litości! wyszeptał Karol przerywając pisanie. Tylko litości żebrać mi wolno, niby podłemu gladyatorowi, powalonemu na piasek areny. Czy dadzą choćby litość, czym na nią zasłużył? myślał, cisnąc dłoniami czoło. Bo w jakiejże postaci staję przed nimi tylko.

A inni, a świat, a ja sam zresztą, jak patrzą na moje czyny i na śmierć bezsilną? Rozpoczęte prace, runą wraz ze mną; długi—przekleństwa ściągną na mogiłę, szyderstwo — że cios ostatni zadała mi, niska, równie bezsilna jak ja kobieta!... Ha, precz z takiemi myślami, niech się los spełni.

Skarzycki pośpiesznie dokończył list, złożył go i chwycił za taśmę dzwonka. Puścił ją i wpatrzony w adres listu, z rozpaczą zatoczył się na krzesło. Wstyd, upokorzenie zdawały się zagradzać mu drogę. Ideały życia przemknęły przed jego oczami tak proste, czyste, tak błogie. Konwulsyjnym ruchem zmiął pismo trzymane w ręku i z ukrytą w dłoniach twarzą pozostał chwilę. Łza przesączyła się i spłynęła po ręku.

Pukanie do drzwi wstrząsnęło Karolem i podniosło go na nogi. Pukanie natarczywiej się ponawiało.

Przybierając możliwy spokój, Skarzycki otworzył drzwi, przed nim stanął stryj Bonek. Podejrzliwie zmierzył go oczami i zakrzątał się udając zwykłą swobodę.

— Ha, ha, tutaj aż z rachunkami uciekasz? rzekł spojrzawszy na papiery. Przeszkadzają, nie dają spokoju, to prawda!

— Co stryj chciał mi powiedzieć?

— Nic, wydawałeś się być chorym, goście się zjeżdżają, pytają się o ciebie.

— Zaraz wyjdę.

— Ot powiem ci wprost, bo przecie między stryjem a siostrzeńcem ceremonii być nie powinno, wyrzekł Bonek z przybranym uśmiechem, przeglądając papiery. Interesa twoje widzę stoją gorzej niż sądziłem. Przyznaj sam, że moję sumkę niedość ubezpieczyłeś, to nie ładnie. Na przypadek jaki, znalazłbym się w krytycznem położeniu. Niech sobie tam przepadają żydzi i różne inne szołdry, ale stryj nie powinien... Zresztą umowa nasza w tych dniach się kończy...

— Nikt nie przepadnie! zawołał Karol z odzyskaną godnością. Stryj dziś jeszcze może podnieść swą sumkę, nikt nie poniesie krzywdy, choćbym miał pójść z kijem żebraczym.

— O nie unoś-że się Karolku! Zawsze gorączka!

— Wszakże jestem spokojny. Idę zaraz do gości, ale nie będę mógł robić honorów domu, bo zajęć mam mnóstwo, zastąpcie mię kochany stryju.

XI.

Pomyślny odwrót równa się niekiedy wygranej bitwie, a częstokroć od niej trudniejszym bywa. Nie dać siłom zginąć w popłochu; ze strat osiągnąć możliwe korzyści, ocalić cześć i bezpieczeństwo, jest trudnem zadaniem nieszczęśliwego wodza, do jakiego porównać możemy Karola w trudnem jego położeniu.

Pierwszem jego zadaniem było wycofać z interesów majątek żony, który palił jego ręce; dla której wszelkie wdzięczności, wszelkie zobowiązania były mu biczami furyi piekielnych. Dalej następowało zaspokojenie całej massy wierzytelności postronnych, zabezpieczenie dożywocia matki, części majątku przypadającej na siostry. Przy tem wszystkiem wysiłków nie małych dołożyć musiał Karol, aby majątek z taką pracą postawiony przezeń na stopie kwitnącej, nie rozsypał się znów w ruinę, lecz aby przeszedł w ręce równie prawe, jak umiejętne, a dla Sękowic zmiana właściciela nie była upadkiem, lecz tylko zmiana rąk dźwigających dobrobyt.

Zadania te zdawały się przechodzić siły Skarzyckiego. Oprócz zupełnego zapomnienia o sobie, wymagały mozolnych, długich i wytrwałych starań, opartych na głębokim rozmyśle i roztropności. W tem trudnem dziele stanąć on musiał sam ze spotęgowaną siłą do walki przeciw spiętrzonym dokoła wrogim okolicznościom.

Spokojny, zamknięty w sobie, działał niezmordowanie. Stanowczy, chłodny, nieoglądający się ani na postronną pomoc, ani na uboczne względy; przez pół roku pracował z energią zimną, żelazną. Najbliżsi dziwili się mu i długo niepojmowali właściwego celu tych robót, dopiero w ostatnich dniach zakończenia spraw majątkowych Karol wyjawił żonie swej i jej rodzinie zamiary swoje, przedstawiając zarazem ich spełnienie.

Nie było tu nawet śladu sceny małżeńskiej. Spokojnie, bez wzruszenia nawet, Karol wyrzekł pewnego razu do Kamilii:

— Pani... za parę dni będę miał szczęście pożegnać ją na zawsze. Jesteśmy obcy jakbyśmy się nigdy nie znali. Oto są papiery ostatecznie rozwiązujące nasze stosunki majątkowe; moralne już nas nie wiążą oddawna, obyczajowo-kanoniczne z łatwością będą rozwiązane przy dobrej chęci wzajemnej. Nadmieniam przytem, że jednocześnie uczyniłem stosowne kroki względem ojca pani. Rozporządzasz pani w zupełności swą osobą i majątkiem. Jeżeli się spotkamy jeszcze z sobą proszę mię uważać za bardzo dalekiego znajomego. Żegnam, życzę szczęścia.

Kamila przerażona stanowczością męża, w którym oddawna już domyślała się jakiejś myśli ukrytej, nie miała dość przytomności i czasu do rozwinięcia swych dramatycznych zdolności, a dramat rodzinny roztrzygnął się niebawem z zachowaniem wszelkich pozorów przyzwoitości światowej. Karol zresztą zdawał się tak obojętnym na możliwie niekorzystne dlań sądy opinii...

Pewnego poranku wyjechał z pałacowego dziedzińca skromnym wózkiem, trzymając na kolanach małego synka, a obok mając starą jego piastunkę. Z pod płaszcza Skarzyckiego wyglądała jasna główka malca radującego się nową dlań zupełnie podróżą. Ojciec spoglądał radośnie, tulił go do siebie i odpowiadał na szczebiot dziecinny. Gdy mijali niwy rodzinne, zdawał się nie myśleć o tém co traci, zajęty wyłącznie tem co posiada. Żalu, troski, boleści nie było znać w twarzy i oczach Karola; przeciwnie, z oblicza jego promieniał spokój, rozlewał się na niem uśmiech zdobytego pracę zadowolenia i rzeźwość ducha.

Po takich stratach, po chwilach rozpaczy i upadku, skądże ten człowiek czerpie tyle świeżej siły życia, otuchy i wiary w przyszłość? Tak mało pozostało mu na świecie — ubogi, sam, z małym synkiem na ręku, wydaje się przecie młodzieńcem, któremu jasna, nie zamącona żadnym zawodem nadzieja przyświeca pochodnią jutrzenki i obiecuje nieznane światy do zdobycia...

Karol więcej posiada niż miał kiedykolwiek, posiada okupioną ciężkiemi doświadczeniami wolność, ma władzę nad sobą, nad stosowną do sił sferą życia i obowiązków. Pierwszy raz w życiu oddycha całą piersią swobodną. Nie cisną go więzy namiętności, fałszywych związków, bezsilności własnej w obec bezwładnych pragnień duszy rwącej się do życia, szukającej naprożno punktu oparcia z zewnątrz. Duch jego nie będzie się już szamotał po omacku, biegł za każdem światełkiem, nie będzie niewolnikiem szukającym pana, lub rwącym rozpaczliwie nałożone pęta. Dziś dopiero Skarzycki może z całego serca twierdząco odpowiedzieć na pamiętne mu zapytenie Jana: „Czy czujesz w sobie siłę dostateczną do życia?" Dla tego to z taką pogodą patrzy na świat, z taką godnością i nadzieją spogląda w niebo. Widzieliśmy go niedawno upadającego pod ciężarem życia nad przepaścią. Czy zjawisko jakie nagłe, wlało weń siłę wyższą i ukazało nową gwiazdę życia?.. Nie... To głos obowiązku orzeźwił duszę zachwianą i wpośród nawału trudności, wyprowadził go wyrobioną już w życiu siłą własną, na blizką drogę swobody czynu.

Skromnaż to droga dla bujnych marzeń, pozioma! Obejrzyjmy pole na którem Karol ma rozpocząć nową pracę i życie nowe. Z obszernego majątku pozostał mu opuszczony biedny, mały folwarczek, mniej niż folwarczek, trochę lichych zabudowań, ogród zdziczały, wyjałowione pole, mszysta łączka i kawałek zarośli, tak zwany Majdan, na skraju dóbr Sękowickich, darowany niegdyś przez dziada Karola staremu słudze rodziny Skarzyckich, a następnie przez jego sukcessorów niedołężnych ustąpiony, chcącemu im przyjść w pomoc młodemu dziedzicowi Sękowic.

Tu Karol sprowadził już nieco dobytku, urządził na prędce stary pustką stojący dworek i z drobnym zasobem założył nową gospodarkę. Pusto, biednie, nikt nie wyszedł radośnie powitać nowego gospodarza, około zagrody leniwie krząta się ledwie paru ludzi, osadnik świeży poszywa dach na ubocznej chacie. Stara gospodyni, dla zwyczaju i otrzymania podarunku wyniosła na ganek dworku chleb i sól na talerzu. Piastunka wstępując w świeżo obielone ściany z dzieckiem na ręku, obciera oczy fartuchem. A jednak Skarzycki nucąc wesołą piosnkę, po chwili wyszedł z domu odziany w prosty ubiór i jak gdyby tu od dawna już wzrosły, jął się zajęć bieżących. Zajęć co niemiara! Spieszyć się trzeba, bo zima za pasem, a tu tak mało zrobiono koło domu i roli.

Rok przeszedł, Majdan nie świeci wprawdzie zdala wyniosłą z pod ziemi świetnością, jest to przecie bardzo schludny folwarczek i nie wygląda na schronienie odludka! Sąsiedzi utrzymują że Skarzycki musiał włożyć tu nie małe kapitały. Naiwni, czyliż nie widzą tych kapitałów wkładanych ciągle od świtu do nocy, kapitałów pracy, przedsiębierczości; kapitałów rosnących w ciągłej czynności umysłu i rąk silnych, czyliż sami nie korzy-

stają z niego w postaci rady, zachęty i przykładu?

Zły to wreszcie rok dla Skarzyckiego. Spaliło mu się parę chat, które przed zimą jeszcze zbudował dla parobków; wyschła część szczepiów zdaleka sprowadzonych do ogrodu...

Karol z toporem w ręku jako architekt i cieśla, według potrzeby, krzątał się wśród zrębów na nowo zbudowanej chaty, gdy ujrzał zbliżającego się gościa. Nie był to żaden z sąsiadów, ani bliższych zajomych. Mężczyzna dorodny, silny, w ubiorze każącym się domyślać dalekiej podróży; nie zastawszy w dworku gospodarza, śpieszył powitać go przy robocie.

— Boże dopomóż! zawołał zbliżywszy się i podnosząc kapelusz.

— Jan!... krzyknął Skarzycki i rzucił się w jego objęcia.

Słowa były zbyteczne przy powitaniu się dwóch starych przyjaciół.

Po niedługiej chwili Karol oprowadził Zawadę po całem swem obejściu, wtajemniczył go we wszystkie swe prace, w cały stan swej gospodarki i ciężkiego dorobku. Gdy znaleźli się w mieszkaniu, przedstawił mu zdrowego, rzeźwego synka, który gościa powitał z całą poufałością dawnych znajomych.

— Był czas szkaradny, z rumieńcem rzekł Karol, kiedym ci chciał tę pociechę i nadzieję moję pozostawić jako smutny spadek naszej przyjaźni..... Później wypowiem ci wszystko, a teraz powiedz mi co u ciebie słychać?

— Gospodaruję na rozprzestrzenionej trochę Zawadówce, jestem żonaty i dzietny...

— Ojciec, matka?

— Zdrowi, pozdrowienia ci przesyłają. Staruszek wybierał się nawet ze mną, ale co prawda rozmyślił się potem.

— A panna, czy pani Helena?... zapytał Karol nieśmiało.

— Helenka, założyła coś w rodzaju praktycznej szkoły dla dziewcząt. Jak widzisz na losy nie mamy prawa narzekać.

KILKA SŁÓW O MUZYCE.

Muzyka tak u nas jak i u wszystkich narodów, sięga najodleglejszych, przedhistorycznych jeszcze czasów.

Sama natura nas jej nauczyła, bo znaleźliśmy się w posiadaniu tej potęgi genjuszu twórczego, który wyłonił z siebie prawdziwe piękno, zawarte w czarach melodyi, skarbem naszej duszy będącej. Któż zdoła się oprzeć tej potędze melodyi? Kto z nas nie doznał wrażenia rozkoszy, jakie ona sprawić potrafi? O ile tu czujemy się być wyżsi i że tak powiem, królami stworzenia. Niedokładne tylko organizmy niedoświadczają przyjemności i wrażenia piękna, jakie muzyka na nas sprawia.

Obdarzeni zostaliśmy mową, która jest niczem innem jak skalą tonów wyższych i niższych, bezwątpienia więc głos ludzki jest najpierwszym muzycznym instrumentem, a człowiek łącząc i ustanawiając w pewnym porządku jego tony, utworzył pierwszą melodyę.

Cywilizacya, następnie, w ciągłym swym pochodzie naprzód, utworzyła pewne przepisy, ujęła w pewne formy, nadała pewien ład i porządek owym pierwotnym dźwiękom, które łącząc się w akordy, utworzyły harmonję, czyli nazywając wyrazem ogólnym, muzykę.

Najdawniejsze ślady muzyki, przedstawiają się w formie hymnów, na cześć Przedwiecznego śpiewanych. U nas muzyka sięga początku wprowadzenia Chrześcijaństwa. Wówczas bowiem wprowadzono do Świątyń Pańskich organy i odtąd datują się pieśni religijne po kościołach śpiewane.

Już w okresie drugim naszej literatury, tak zwanym Piastowskim, spotykamy pieśni, które są zarazem piśmiennemi pomnikami, jak np. „Pieśń żałosna na śmierć Bolesława W“ pieśń witająca Kazimierza I, „a witaj że nam witaj miły gospodynie“, i t. p., jak niemniej i religijnej treści np. pieśń „Boga-Rodzico-Dziewico“, której autorem miał być Ś-ty Wojciech, a którą odśpiewywano nad grobem tego Ś-go w Gnieznie—i wiele innych pieśni z tego wieku, o których posiadamy wzmianki.

Odtąd stopniowo tworzono coraz więcej pieśni i wkrótce nawet dodawano muzykę do ówczesnych przedstawień czyli dyalogów, a potem do misteryj, które dawano w klasztorach i na dworach panów.

Za Jagiellonów muzyka u nas niepoślednie zajmowała miejsce, i w tym okresie, spotykamy liczne kapele, które znacznym kosztem na dworze znakomitych panów były utrzymywane.

Lira i duda były pierwszemi u nas instrumentami, na których przygrywali lirnicy, opiewając dzieje, tak zwane bajeczne, historyi naszej, jak w krajach południowych trubadurowie opiewali, bohaterskie czyny swoich przodków.

Siedzibą muzyki był u nas Kraków i tam głównie pierwotnych jej śladów szukać należy.

Lecz w ogóle mało posiadamy źródeł, odnoszących się do początku muzyki i późniejszego jej rozwoju, tak, że trudno nam wyrobić sobie jasne pojęcie, jakie muzyka podówczas zajmowała u nas miejsce i jak ją pojmowano i traktowano. Prawdopodobnie, uważano ją więcej jako zabawkę, nie przypisując jej takiego znaczenia i nie stawiając na takiem stanowisku, jakie dzisiaj zajmuje—czego dowodem jest to, że gdy wiele pisano z dziedziny innych sztuk pięknych, muzykę zwykle pomijano i poprzestawano na krótkich wzmiankach, nie przypuszczając by coś dokładnego można było o niej powiedzieć.

Dopiero wiek dziewiętnasty odznacza się znaczną liczbą kompozytorów i utworów muzycznych i daje nam dokładny obraz o stanie muzyki, którą z wielkim zamiłowaniem u nas uprawiano. Bieżące więc stulecie jest początkiem naszej literatury muzycznej.

Nie wyliczamy tutaj znanych powszechnie imion kompozytorów, ich biografii i dzieł jakie pozostawili, oraz w ogóle tego wszystkiego co dla wzbogacenia biblioteki muzycznej i jej literatury w tym okresie zrobiono. Przechodziłoby to bowiem szczupłe ramy niniejszego artykułu i nie odpowiadało naszemu założeniu, dawania od czasu do czasu pewnych szkiców muzycznych.

Wszystko to dokładnie przechowała historya muzyki i jakkolwiek nie posiadamy w tym przedmiocie specyalnego i wyczerpującego dzieła, jednakże to, co znajdziemy rozrzucone, jużto w naszych krytykach muzycznych, artykułach, w dziele Karassowskiego, Łady lub Sowińskiego, wystarczy na wyrobienie sobie dokładnego pojęcia o stanie wzroście i postępie muzyki dzisiejszego wieku, w naszym kraju.

Najdokładniejsze, bezwątpienia, wyobrażenie w tym przedmiocie da nam, wielce szacowne, jakkolwiek grzeszące wielu błędami, dzieło Sowińskiego p. t. „Słownik muzyków polskich“.

Osobistość Sowińskiego ze wszech miar godną jest wspomnienia i jedno z najpierwszych miejsc w dziedzinie muzyki i piśmiennictwa muzycznego zajmuje. On pierwszy podjął kolosalną pracę i zaznajomił nas z wieloma ukrytemi dotąd skarbami naszej muzyki, dla tego też poświęcamy mu słowo gorącego uznania i wdzięczności. Szkoda tylko że Sowiński pisał w języku obcym, a więc nie dla wszystkich zrozumiałym i że dzieła jego w jednej tylko połowie do naszej się literatury zaliczają.

Co do początku i rozwoju muzyki w innych krajach, odbywało się to podobnie jak i u nas, i jest rzeczą prawie pewną, że pieśń religijna, a następnie świecka była niewątpliwie najpierwszą formą muzyczną i pierwszym zawiązkiem poezyi.

Muzyka z poezyą nierozłącznie się rozwijając i wzajemnie uzupełniając, wzrosły nareszcie do znaczenia sztuki.

Krasicki w dziele swoim „O Rymotwórstwie“ powiada: „W dzikich narodach, które żadnego z innemi towarzystwa nie znały, znalazły się przy odkryciu ich krajów pieśni, które, lubo grubą prostotą tchnęły, na wzór ćwiczonych, miały pewne składy i wymiary dość wdzięczne, używane zaś bywały w obrzadkach na uwielbienie bóstwa, któremu oddawali cześć i czynili ofiary. Z tego więc widzimy, iż muzyka nigdy nie posiadała swego wynalazcy, że jej pierwiastki już się w samej naturze przejawiały i w początku stworzenia należy szukać jej powstania — jak również i początku poezyi, który jest współczesny powstaniu człowieka.

Hymn więc i pieśń były to pierwsze formy muzyczne.

Muzyka następnie przechodząc rozmaite fazy form i systematów, w jakie starano się ją ująć i ograniczyć, głównie i dziś się przedstawia w formie pieśni, a kto wie czy ta forma nawet najgłówniejszą i najpopularniejszą się nie stała. Rzeczywiście forma pieśni jako najprostsza jest w ogóle dla wszystkich najprzystępniejszą i może najwięcej na naszę stronę duchową oddziaływa, a więc i najprędzej celu swego dosięga.

Pieśń dzisiejsza w inne przybrała się szaty, wzrosła i spotężniała do znaczenia dramatu muzycznego czyli opery. Tu ona rozrasta się coraz szerzej, przybierając na się nazwy: aryj, kawatin, romansów, duetów, ballad i t. p. Tu widzimy ją w rozlicznych kształtach i barwach, jaśniejącą życiem i siłą, a liryzm głównym jej jest żywiołem, tak jak, bez zaprzeczenia, główny żywioł muzyki stanowi.

Taką jest pieśń dzisiejsza, wprawdzie tylko dotąd, dopóki jest płodem niepospolitego talentu lub genjuszu. W przeciwnym bowiem razie utraca swoję prostotę i naturalność, staje się napuszoną i pretensyonalną, a sprzeczną z prawdą—więc i pięknem. Smutnem jest zaiste, iż większość dzisiejszych kompozytorów tem swoje płody cechuje—i każdy niemal, posiadający większą lub mniejszą muzykalność, jakiś amatorski talencik, bierze się do kompozycyi—i cóż stwarza? Oto komunalny zlepek, pozbawiony prostoty, piękna i melodyi; posiłkując się bowiem większą lub mniejszą znajomością teoryi, szpikuje swój utwór mnóstwem kombinacyj harmonicznych, z których nieumiejętnie korzysta, a które często nie odpowiadają charakterowi i rozmiarowi jego dzieła. Pytamy się tedy: jaki cel podobnych kompozycyi? Wrócićby się nam należało do początku i zapytać: co nazywamy muzyką i co jest jej celem? Muzyka będąca wyrazem najwznioślejszych uczuć człowieka i tak znakomicie te uczucia malująca, odpowiadać im też powinna—a czy odpowiada przy powyżej wymienionych warunkach kompozycyi?

Brak wykształcenia muzykalnego często staje na przeszkodzie, nawet kompozytorowi większym talentem obdarzonemu. Wiadomo bowiem, czem jest np. znajomość kontrapunktu w połączeniu z talentem jakim Bóg nas obdarza. Kontrapunkt daje nam możność spożytkowania i rozwinięcia w przeróżne formy całego naszego, że tak powiem, zapasu duchowego, którego często nie potrafimy spożytkować bez znajomości tej techniki muzycznej. Lecz koniecznym i nieuniknionym warunkiem, przy całej znajomości techniki, jest talent. Przyjrzawszy się bowiem drugiej stronie medalu, spostrzegamy, iż wszelka znajomość zasad muzyki jak również wszelkiego rodzaju kombinacye muzyczne, nie są wstanie zastąpić tej świętej iskry i tej całej potęgi twórczego genjuszu, którego niestety nigdy się nie nabywa, a z którego zarodkiem już się rodzimy.

Genjusz bowiem nie może się dać zamknąć w jakieś granice, formy i formułki, sam swoją potęgą toruje sobie drogę, przekraczając często uznane przepisy, a kreśląc nowe, sobie tylko właściwe. Wszyscy zaś inni mniejsi i maluczcy, kornie chyląc czoło, całą rzeszą biegną po tej nowej a utartej drodze, olśnieni tem światłem, którego promieni chętnie, jak księżyc od słońca, zapożyczają.

Czyż np. Chopin nie jaśnieje swoim własnym blaskiem? I czy przestał być chlubą naszego narodu, pomimo iż wcale nie był kontrapunkcistą i często od uznanych prawideł odstępował?.. Czy dzieł jego nie cechuje prostota i prawdziwe piękno i czy nie doścignęły one szczytu poezyi?

Ci chyba tylko, którzy go niezdolni są pojąć i zrozumieć—nie uczują tej siły wrażenia, jakie kompozycye jego wywołać potrafią. Znajdują sie jednakże podobno tacy i to nawet pomiędzy znakomitszymi niemieckimi muzykami. Sami słyszeliśmy kilka faktów, niezbyt dodatnio charakteryzujących poznaniu się Niemców na Szopenie. A pewien nawet nauczyciel jednego z konserwatoryów niemieckich, otwarcie wyrażał swą niechęć do Szopena i stawiał pewne przeszkody w wykonaniu jednego z dzieł, które wybrał na popis artysta.

Uznaną jest prawdą że ci wszyscy, którzy pozują na wielkości, a nie są wstanie wznieść się na wyżyny genjuszu i dorównać mu, korzystają chętnie z każdej chwili, by obniżyć wartość jego płodów, wyszukując zapamiętale pewnych błędów. A gdy te odnajdą wytykają je głośno i publicznie, gotowiby nawet całe tomy o tem napisać. w przeciwnym zaś razie, pomijają jego utwory lekceważącem słowem. Lecz, niestety, zawsze chybiają celu, pozostaną niczem innem, jak tylko ową nadymającą się żabą z bajki La Fontain'a.

J. S.

HURTOWNICY AMERYKAŃSCY.

(PRZEKŁAD Z ROSSYJSKIEGO.)

(Dalszy ciąg).

Nim się opamiętałem zdziwiony i uradowany wdziękami rodzinnej mowy, lady rzuciła mi się na szyję i wśród gorących uścisków, ciągnęła mnie z sobą do wenty. Nie potrzebuję dodawać, że kamraci moi nad wyraz zdziwieni byli tem powitaniem niezwykłem.

Nie podobna mi oddać wrażenia jakie uczynił na mnie pokój do którego poprowadziła mię rodaczka moja.

Po dwu miesięcznej tułaczce na pustyni, każde mieszkanie ludzkie wydać mi się musiało wspaniałem, a to nad to wszystko kraj mój mi przypominało. Pokój był zupełnie urządzonym tak, jak się urządzają pokoje gospodarskie w zamożnych domach zajezdnych rossyjskich, i na chwilę zapomnąć można było iż się jest na granicy Tehasu.

Rozmowna atoli sąsiadka nie pozwoliła mi utonąć w marzeniach. Pobrzękując kluczykami, kręciła się po pokoju, przygotowując herbatę i ciągle mnie o coś zapytując.

Ze słów jej urywanych a prędkich, dowiedziałem się przedewszystkiem, że z mężem swoim Polakiem, wyjechała z Rosyi przed pięciu laty i jest obecnie gospodynią i właścicielką wenty; że mężowi jej Jan na imię, że powodzi im się wcale nieźle, że zebrali trochę grosiwa, ale że pomimo to wszystko, życie mniej znośne w Ameryce jak w Rosyi.

— Tam, z takim funduszem i z takiemi dochodami mogłabym, mówiła, żyć jak królowa, tu — nudy mi dokuczają, bo inna to rzecz zawsze pomiędzy swoimi.

Rozmowę naszę przerwał służący, negr młody, wniosłszy w tej chwili kipiący samowar.

Temu, kto się nie znajdował w położeniu mojem, trudno sobie wyobrazić jaką rozkosz sprawia Rosyaninowi przerzuconemu za dziesiątą gdzieś granicę od rodzinnej ziemi, kipiący samowar i kilka szklanek herbaty gorącej, na sposób ruski przygotowanej. Sama zresztą gospodyni nawet się nie domyśliła jaką mi zrobiła przyjemność, podając mi na przekąskę kawał razowego chleba.

Ciepła izba, gorąca herbata, osłona od wiatru i wilgoci przejmujących do szpiku kości, wszystko to wzięte razem, nie mogło nie oddziałać korzystnie na organizm. Czy to w skutku reakcyi, jaka koniecznie po długiem naprężeniu fizycznem i moralnem nastąpić musiała; czy to, żem pomimowoli poddawał się wrażeniu ruskiego obyczaju i mowy rossyjskiej; dość, że takie mnie opanowało lenistwo, iż mi się z miejsca poruszyć nie chciało. Przemógłszy się, powstałem i wyszedłem do pokoju, w którym zabawiali się nasi strażnicy. Dowiedziawszy się od wagenmajstra jakie wydał polecenia co do nadzoru stada i paszy, nająłem i wysłałem zaraz jednego z włóczęgów jaki się pod ręką znajdował, na stacyę drogi żelaznej, oddaloną od wenty na siedmdziesiąt mil z górą. Posłaniec miał obowiązek zawiadomić telegrafem naszego przełożonego, o szczęśliwem przeprowadzeniu transportu na granicę i po otrzymaniu odpowiedzi z dalszemi rozporządzeniami, powracać do wenty, w której dwa do trzech dni mieliśmy pozostawać.

Spełniwszy obowiązki służbowe, należało mi o kostyumie pomyśleć tembardziej, że pod tym względem ubiegli mnie już towarzysze moi.

Ubiór jaki zimą noszą mieszkańcy pustyni, nadaje się jak nie można lepiej do zmiennej pogody i sposobu życia w czasie przejazdów po stepie, a różni się zupełnie od ubrania skórzanego letniego.

Kostyum ten składa się z dwu nałożonych jedna na drugą koszul, z dwóch takichże par pantalonów i ciepłych wojłokowych pończoch. Na wierzch bierze się kurtka ze skóry końskiej, szerścią na wierzch, takież spodnie i buty na grubych podeszwach. Do kołnierza kurtki przyczepiony jest skórzany kapiszon czyli kołpak, który się w czasie niepogody zakłada na czapkę, a opuszcza w tył w czasie pogody.

Jeżeli odzież w danym razie nie dostatecznie ochraniała od zimna, zarzucało się wtedy na siebie dwa lub trzy długie szerściane okrycia. W otwór w pośrodku takich okryć zrobiony, wkładało się głowę, a końce wiszące z przodu i z tyłu okręcało się około tułowia, rękom tylko swobodę pozostawiając.

Raz włożonego ubrania przez cały czas podróży nie zdejmowało się z siebie, to też mimo trwałości materyałów, niszczyło się ono i ździerało, i pod koniec nie bardzośmy się powierzchownością od kolorowych hodowników różnili.

Wziąwszy nowe ubranie z furgonu, chciałem był się iść przebrać do izby oddzielnej, gdy gospodarz z którym się zetknąłem, po-

prosił abym się zatrzymał nieco, kazał mi bowiem dla wykąpania się, ruską banię przygotować. Więc tedy w wencie byłem jak w rosyjskim zakątku jakimś. Bania przyrządzona była i ogrzewana podług wszelkich prawideł, a kąpiel bardzo mi była na rękę. Zaprosiłem doń ze sobą Piotra i dwóch strażników. Z początku nie mogli wytrzymać gorąca na wyższej półce, ale oswoili się z niem następnie i oddawali najzupełniejszą sprawiedliwość tym co wynaleźli taki dzielny środek do wymycia się i ogrzania. Ludzie nasi inni udawali się też kolejno do bani i wszyscy się nią zachwycali. W herbacie z samowaru Piotr bardzo gustował, inni o tyle, o ile dolewano do niej porządną porcyę araku, za to chleb czarny nie chciał iść do gardła ludziom przywykłym do pszenicy, maisy i mięsa i powszechnie się dziwili jak można paskustwo takie używać.

Wieczorem gospodyni zaprosiła mnie na kolacyą, do której i mąż jej zasiadł łącznie z nami. Był to mieszczanin z zachodnich gubernij, mówił dobrze po rossyjsku, człek poczciwy i nie głupi.

Po wieczerzy smacznej a obfitej, w czasie której rozmowa wyłącznie się o Rossyi toczyła, z satysfakcyą prawdziwą wyniosłem się do wyznaczonego mi pokoju, aby ledz na miękkiej pościeli, i zasnąłem jak zabity. Przebudziłem się nazajutrz około południa dopiero, zapomniawszy oczywiście i o mojej kolei służbowej, i o koniu i o ludziach i o wołach.

Piotr któremu jako wagenmajstrowi obowiązani byli ulegać wszyscy członkowie ekspedycyi, zrobił mi wymówkę publiczną żem przespał czas służbowy, nadmieniając, że strażnicy bardzo z tego byli niekontenci.

Chociaż wesołe twarze strażników owych, nie bardzo się z tą uwagą zgadzały, uważałem sobie za powinność, przeprosić ich, uraczyć porcyą wisky i zapewnić tego który mnie był zastąpił, że skoro kolej jego nadejdzie, najchętniej go wyręczę.

Pod wieczór powrócił posłaniec ze stacyi drogi żelaznej z telegramem naszego patrona. Nie chcąc się opóźnić na bibkę, z powodu powrotu transportu ze stepu, poseł ów nie oszczędzał swej szkapy przebywszy w ciągu doby 150 mil z górą.

Pan Maks zalecił mi telegramem wybrać odpowiednie miejsce na umieszczenie i wypoczęcie bydła, zatrzymać się tam dni dwanaście do piętnastu, przygotować dostateczny zapas furażu na czas przejazdu bydła po drodze żelaznej, a pod koniec zakreślonego na zatrzymanie się terminu, sam do nas przybyć obiecywał, i sam przyjąć udział w dalszej dostawie bydła.

Dokoła wenty rozciągała się ogromna, do nikogo nie należąca łąka, tu więc postanowiłem pozostać. Urządziwszy obóz stały, uwolniwszy część ludzi już nam nie potrzebnych obecnie, i wszedłszy w umowę z właścicielami wenty o pomieszczenie dla ludzi pozostawionych do transportu, wziąłem się do obmyślenia środków zaopatrzenia się w furaż.

Nie mieliśmy ani kos ani mułów, żeby się własnemi środkami w siano zaopatrzyć, najęcie i sprowadzenie za drogoby kosztowało, obok zaś tego z trawy zimą koszonej siano jest kiepskie i niepożywne. To też dowiedziawszy się od właściciela wenty, iż w okolicy duże są zapasy siana, postanowiłem ilość nam potrzebną za gotowe zakupić pieniądze.

Nie mogłem się dowiedzieć w wencie, do kogo zapasy te należą, i jakie tu na ten niezbyt poszukiwany towar praktykują się ceny—postanowiłem więc sam nazajutrz przejechać się po okolicy.

Właściciel wenty postanowił mi towarzyszyć, czem mi bardzo przyszedł w istocie w pomoc, bo mieszkając od trzech lat w tej miejscowości, znał sąsiadów swoich i znał ich zwyczaje i słabostki, a wiedział dobrze, gdzie szukać wyborowego siana. Jeżdżąc przez dni cztery, zwiedziliśmy kilkanaście ferm i kolonij, obejrzeli niezliczone mnóstwo stogów siana i wreszcie zakupiliśmy ilość potrzebną w pewnej kolonii, odległej od stacyi drogi żelaznej o mil piętnaście wszystkiego.

Kolonista, od którego nabyliśmy siano, zobowiązał się je wyprasować i odstawić na kolej, po cenie półtrzecia dolara za tonn. Zaliczkę po dolarze zapłaciliśmy przy umowie, resztę obowiązaliśmy się uiścić przy odstawie.

Tym sposobem, wyborne, wiosenne siano, nabyłem o połowę bodaj taniej, aniżeli kosztowałoby mnie siano zimowe, sprzątnięte przez nas samych, najętemi kosami i mułami. Ta bajecznie nizka tutaj cena siana, uwarunkowywa się, rzecz prosta, wyjątkowemi okolicznościami miejscowemi.

W miejscowości okalającej wentę w długim promieniu i położonej w południowej części Tehasu, niedaleko od nowego Meksyku, przed niewielu laty, nie było ludności białej, wyjąwszy blokhauzów pionerskich, ciągnących się nieco więcej od zachodu, po nad samą granicą Tehasu.

Bizony i Indyanie, oddawna już nie odważali się przechodzić po za pas graniczny, wytworzony z blokhauzów, tak, że część stepu po tej stronie granicy, mogła się uważać za bezpieczną zupełnie.

Jednakże, nie wiadomo dla jakiej przyczyny, step mający kilka kroć sto tysięcy akrów najurodzajniejszej ziemi, nie przyciągał ku sobie przesiedleńców.

Koloniści ze wschodu najchętniej ku zachodnim stronom stepu dążyli, bo nie domyślali się prawdopodobnie iż przechodzą obok przestrzeni, które tak pod względem urodzajności gleby jak w ogóle wszystkich warunków innych, nie ustępują w niczem owem miejscowościom ulubionem i jedynie z niektóremi tylko dolinami Kalifornii równane być mogą. Gęsta soczysta trawa, na kilkanaście stóp wysoka, szła tutaj na marne, na pniu wysychając, bo nikt z niej nie użytkował prócz kilku lub kilkanastu stad bydła, koczujących chodowników. Ale przed laty dziesięciu zawiązało się w New-Yorku stowarzyszenie budowy drogi żelaznej przez tę część Tehasu. Inżynierowie zajmujący się pracami przygotowawczemi, natrafili na ten niby zapomniany kącik. Zdawszy na innych roboty techniczne, jeden z przedsiębiorczych aferzystów udał się do Prestonu, wszedł w układy z zarządem Tehasu, związał się z kilkunastu kapitalistami i dziś biedny zupełnie, został nazajutrz właścicielem kilkukroćstotysięcy akrów łąk najpyszniejszych — płacąc po dolarze za akr jeden i w bardzo niewielkich ratach należność całą spłacając. Podzieliwszy grunta na drobne osady, nowy właściciel nie skąpił oczywiście wydatków na szumne gazeciarskie reklamy, wychwalające pod niebiosy klimat, rodzajność i okolicę, i w krótkim stosunkowo czasie wyprzedał ziemię stowarzyszeniom i spekulantom, a biorąc za akr od 3 do 5 dolarów, zapłacił dług i zgromadził kapitał ogromny. Osadnicy nowi zasiedlali ziemie swoje drogą utartą w wypadkach podobnych; wabili mianowicie ludność szumnemi ogłoszeniami i obietnicami nie bywałych korzyści.

Ochotników nie brakło i zwolna po głuchym stepie zaczęły się rozsiadać domki przesiedleńców z dokoła uprawnemi polami.

Bajeczna taniość bydła w Indyach-Terytori i obfitość pastwisk niezwykła, pozwoliły osiedleńcom utrzymywać wielkie stada.

Tak upłynęły dwa lata. Osadnicy dawniejsi ściągali innych coraz liczniejszych, i właściciele gruntów robili interesa dobre. Naraz susza straszna wyniszczyła najpiękniej zapowiadające się posiewy, a wypaliwszy trawę nie dała możności przeżywienia inwentarza, który potrzeba było wybijać na skóry. Zrujnowani koloniści rzucali osady i wracając do Stanów, rozpuszczali najniekorzystniejsze wieści o stronie którą zamieszkiwali. Niepozwoliło to następnie za pomocą reklamy ściągnąć nowych na opuszczone role kupców lub dzierżawców.

Probowano zatem zaprowadzać gospodarstwa wielkie i w tym celu sprowadzano najemników ze Stanów, ale i to nie udało się jakoś i gospodarstwo cierpiące na ogromny brak rąk do pracy, na same tylko narażało straty.

Tym sposobem właściciele ziemscy na południo-zachodzie Tehasu, znaleźli się w tem krytycznem położeniu, w jakiem niezbyt dawno byli właściciele ziemscy w niektórych guberniach rossyjskich, i nie wiedzieli jakby się z tego położenia wydźwignąć. Zrozumiawszy atoli, że pojedyńczo działając zaradzić złemu nie potrafią; złączyli się w jedno towarzystwo mające na celu wynalezienie środków do zasiedlenia owych przestrzeni lub pozbycia się takowych.

Przedewszystkiem próbowano blagi, ogłoszenia jednak nie skutkowały i nie ściągały ochotników. Złączywszy się wtedy, poczęli sprowadzać robotników najbiedniejszych, wyposażali ich gruntem, odpowiedniemi zabudowaniami, inwentarzem i narzędziami, za co kolonista obowiązany był składać na rzecz właściciela pewną daninę w produktach w naturze.

I ten jednak sposób zaludnienia nie zupełnie odpowiedział oczekiwaniom, z powodu, że większość tego rodzaju kolonistów, stanowili nałogowi pijacy i próżniacy nawykli do włóczęgi. Rolnictwo uprzykrzyło im się bardzo prędko i sprzedawszy nadany sobie przez stowarzyszenie inwentarz, uciekali albo do Stanów albo na stepy na włóczęgę. Ci co pozostali na miejscu, dorobili się bardzo prędko,

bo lata urodzajne pomogły im skutecznie ku temu.

Nie zważając na nieosobliwy rezultat dotychczasowych zabiegów, stowarzyszenie rolnicze, rąk bynajmniej nieopuszczało, bo zresztą jankessi nie łatwo niepowodzeniom złamać się dają. Nauczeni doświadczeniem, że ściąganie motłochu nie mającego grosza przy duszy, nie na wiele się przydało, stowarzyszeni zmienili system postępowania.

Nająwszy mianowicie kilkunastu zręcznych agentów, rozesłali ich w różne strony związku za werbunkiem ludzi z małemi kapitalikami, albo i bez tego, byle bezwarunkowo pracowitych. Agenci rozpuszczali pogłoski o korzyściach z przesiedlenia się na urodzajne grunta stowarzyszenia—które przedstawiali... gdy zauważyli kogoś, kogo opowiadania te zajęły, dotąd się koło niego kręcili, dotąd mu złote góry obiecywali w oddali, aż namówili na wyemigrowanie.

Agenci podobni powysełani też byli do portów europejskich, z których rozjeżdżali się zwykle emigranci. Odbywając „z zielonemi“ europejczykami podróż do Ameryki, podpatrywali oszczędniejszych i rządniejszych, wyświadczali im niektóre przysługi, zyskiwali wpływ jako bywalcy z Ameryki i naprawiwszy niestworzonych historyi o oszustwach i przykrościach na jakie naraża się europejczyk w Ameryce, wychwalali czynności kompanii rolniczej, ostrożnie podmawiając kolonistę aby się na południo-zachód Tehasu kierował. Po przybyciu do Ameryki doświadczeni agenci pozostawili przybyłym najzupełniejszą swobodę działania, sztucznie ich atoli popychając na spotykanie się z najgorszymi ludźmi. Skoro przecież tylko emigrant wpada w kłopotliwe położenie i zaradzić sobie nie jest w stanie, zjawia mu się na pomoc agent, wyplątywa z biedy, ale za to natarczywie już doradza oddanie się pod opiekę towarzystwa rolniczego, zapewniając, że inaczej rady nikt tu sobie nie da, i przepaść musi koniecznie. Trzeba przyznać, że stowarzyszeni sumiennie spełniali przyrzeczenia swoich agentów i koloniści skarżyć się na nich nie mieli powodu.

Zapas grosiwa przywieziony przez emigranta nie potrzebował być obracanym na pierwsze zagospodarowanie się, bo wydatki podobne kompania na swój przyjmowała rachunek. Mógł więc przybysz składać sobie grosz do kassy oszczędności i chować na czarną godzinę. Osad rolnych początkowo nie sprzedawano przybyłym, lecz je im w krótkie oddawano dzierżawy. Werbunek szedł dosyć gładko. Parę znowu lat korzystnych pozwoliły i nowszym osiedleńcom jako tako się zapomódz, a ruchliwość agentów, reklamy nieustannie pojawiające się po gazetach, wiadomości zresztą przez kolonistów samych, znajomym sobie w innych częściach Stanów zamieszkałych zakomunikowane, zatarły niekorzystne pojęcia o południowo-zachodnim Tehasie i ludność poczęła napływać tysiącami.

Interesa stowarzyszonych poszły jak nie można lepiej. Osady małe nabywano i zadzierżawiano najchętniej, pokryły się wszystkie straty a pokazały zyski.

W czasie gdym zamieszkiwał wentę Teleckiego, grunta stowarzyszonych były gęsto zaludnione, co krok spotykało się oddzielne fermy w przeróżnych fazach rozwoju, począwszy od naprędce skleconego baraku otoczonego wałem ziemi, po raz pierwszy w bieżącym roku ręką ludzką poruszonej, aż do ślicznitkiego białego domku murowanego, otoczonego zabudowaniami gospodarskiemi że starannie utrzymywanym ogrodem owocowym. W domach do których miałem sposobność wstąpić, nie mogłem nie zauważyć dostatku a nawet do pewnego stopnia i zbytku. Widocznie urodzajna ziemia hojnie za staranie około siebie płaciła.

Osadnicy co zresztą powszechnym jest zwyczajem w Ameryce—chętnie a nawet z widocznem zadowoleniem, okazywali mi pola swoje, zabudowania, inwentarz i narzędzia rolnicze, a ze czcią szczególną wspominali wszyscy niejakiego pana Dżeri, administratora towarzystwa. Porzucił on obecnie służbę i prowadzi gospodarkę na większej kolonii ofiarowanej mu przez kolonistów. Dzięki energii, zapobiegliwości i rozumowi tego człowieka, do systemu gospodarowania kolonistów wprowadzono wiele ulepszeń ważnych, zgodnych z warunkami miejscowemi, i dziś susze nawet, nie grożą już klęską tak powszechną i straszną jak dawniej.

I dzisiaj też okoliczni fermerzy często się do Dżeri po radę udają.

W gospodarstwie tutejszem przeważa system płodozmienny. Grunta swe dzieli osadnik na 30 lub 40 kawałków oddzielnych, stosownie do przestrzeni jaką posiada i siły roboczej jaką rozporządza. Kawałek jeden obsiewa pszenicą, drugi lnem, trzeci trzciną cukrową, czwarty tytoniem i t. d. Skoro każdy kawałek taki przejdzie z kolei przez posiewy wszystkie, zostawia go się pod ugor na długie bardzo lata, ale za to z bujnej trawy w jaką się przyodziewa, zbiera się paszę wyborową. Z obawy suszy jakie tu zwykle w końcu lipca i w początku sierpnia panują, zasiewy dopełniają się nadzwyczaj wcześnie. W skutku szczególnie przyjaznych dla hodowli bydła warunków, każdy osadnik utrzymuje stada bardzo liczne, i wielkie stąd ciągnie korzyści. Niemcy a więcej jeszcze Szwajcarzy utrzymują przeważnie krowy i cielęta a mniej owiec i trzody chlewnej. Krowy mając pokarm posilny i obfity wydają bardzo dużo mleka, przerabianego następnie na ser i masło.

Serwatka używa się na pokarm dla świń lubo te nie szczególnie tu się udają.

Zaradcze środki przeciw posuchom nadzwyczaj się okazały praktycznemi i rok 1870 pomimo, że trawy zupełnie przepadły, nie dotknął zbyt dotkliwie kolonistów. A środki te wskazane przez pana Dżeri są tak proste i tanie iż dziwię się, że nie bywają stosowane w innych wszelkich miejscowościach podobnemi wypadkami zagrożonych.

Przestrzeń nowo zaludniona, jest to obszerna płaszczyzna, gdzie niegdzie poprzerzynana rzeczkami lub strumykami, oddalonemi przynajmniej o kilkadziesiąt mil od siebie.

Po nad brzegami tych strumieni, ciągną się wązkie pasy ziemi, porosłe trawą gęstą, nie potrzebującą wody atmosferycznej.

W czasie największych suszy gdy roślinność cała przepada z kretesem, zielenią się trawy nad brzegami temi, bo w gruncie dosyć dla siebie znajdują wilgoci.

Pan Dżeri zwrócił przedewszystkiem uwagę na te niewysychające łąki nadbrzeżne.

Wyciąwszy krzaki, poprzeprowadzał kanały za pomocą których woda w różnych przepływała kierunkach, a dalej utworzył z niej sztucznie gdzie się to dało jeziora. W czasie upałów wysychała woda w tych jeziorach, ale zawsze po pod niemi ziemia do tyla była wilgotną, iż krzewiła się na niej trawa gęsta i posilna.

Wytworzone w ten sposób dosyć obszerne przestrzenie, nie obawiające się posuchy, stanowiły wspólną własność wszystkich osadników stowarzyszenia.

Osadnicy jak najstaranniej podobne łąki pielęgnują, a bydło wtedy dopiero na nie wypędzają, gdy wszędzie indziej wypaliły wszystko upały. Wilgoć na całej przestrzeni stepu w zupełności zawisła od wilgoci atmosferycznej. Jeżeli podczas zimy częste i silne padały deszcze, jeżeli śniegu było pod dostatkiem, w wielu miejscach formują się wielkie kałuże, wilgoć długi czas trzyma się w gruncie, a upały letnie nie grożą roślinności nawet wtedy, gdy w ciągu miesięcy kilku ani kropli wody nie spadnie. Inaczej się rzecz ma, jeśli zima była suchą. Z nadejściem lata kałuże wysychają, i deszcze częste konieczne są dla urodzaju.

Ale pan Dżeri potrafił naturalne wysychające kałuże zastąpić przez studnie artezyjskie. Przyszło mu to z trudnością nie lada, ale potrafił przezwyciężyć przeszkody. Przedewszystkiem trzeba było przejść spory wielkie, ze stowarzyszeniem samem, które nie chciało w możliwość podobnego przedsięwzięcia uwierzyć—bało się rezykować stosunkowo wcale wielkich wydatków. Po długich targach pozwolono mu utworzyć studnię jednę i wyznaczono na ten cel summę 5,000 dolarów. Co do mnie, nie potrafię sobie wytłomaczyć tej niewczesnej oszczędności ze strony ludzi, którzy wyrzucali summy ogromne na przedsięwzięcia inne, daleko bardziej niepewne.

Pomimo nader małego kredytu, pan Dżeri zabrał się do pracy, i znowu się musiał z nowemi potykać trudnościami.

Koloniści osiedleni na gruntach stowarzyszenia, nie mieli jeszcze do pana Dżeri takiego jak dziś nieograniczonego zaufania; na projekt dobycia wody z pod ziemi, patrzyli jak na waryacką mrzonkę jakąś, i pomimo wysokiej płacy dziennej, bardzo niechętnie najmowali się doń na roboty.

Sciągać najemników z Kalifornii było niepodobieństwo, bo w takim razie owe 5,000 dollarów nie wystarczyłyby na doprowadzenie robót do połowy, a wtedy przedsięwzięcie można by było uważać jako rzecz raz na zawsze straconą.

Robotnikom sprowadzonym ze Stanów niemniej nie podobało się zajęcie męczące i nie zwyczajne. W obec warunków takich nie wiele dokonać było można. W rękach nieobytych, więc niewprawnych, ciągle coś się psuło; łamały się drągi, otwory szły krzywo i nie raz zapuściwszy świdry na dosyć znaczną głębokość, trzeba było dawać pokój i zaczynać w innem miejscu na nowo.

Dwa miesiące borykał się tak Dżeri, wytrzymując pośmiewiska rolników, radzących porzucić bezskuteczny, jak go nazywali, wymysł i zabrać się do czegoś pożyteczniejszego. Ale yankes przekonany o możliwości swoich zamiarów nie pozwolił się zbić z tropu, i przemyśliwał jakby rozpoczętą pracę doprowadzić szczęśliwie do końca.

Wyjechawszy do Luiziany, nabył sobie ośmiu mulatów, (niewolnictwo nie było jeszcze wówczas zniesione); ludzi młodych, jako tako rozwiniętych, pojmujących poniżenie swoje i gorąco wzdychających do otrzymania wolności.

Po przybyciu na miejsce robót, napisał wszystkim świadectwa wolności i oświadczył, że gdy się tylko ukaże woda artezyjska, oprócz wolności otrzymają jeszcze osady rolne, na warunkach tych samych, na jakich je posiadają biali przesiedleńcy. W nadziei tej wolności złotej, o której marzyć nawet nie śmieli, mulaci ostro się wzięli do pracy i wkrótce pokonali trudności, jakie spotyka się zwykle w pczątkach nieznanego sobie zajęcia.

Jeden przez drugiego starali się świdrować ziemię i usuwać wszystkie przeszkody, wiedząc że za każdą wydrążoną stopą, przybliża się woda, a z wodą ich wolność.

Ttrafiało się, że przy wierceniu łamał się świder i część ułamana zostawała w ziemi—Mulatów o rozpacz to przyprawiało, i nie uspakajali się dotąd, dopóki nie usunęli zawady. Zapewniał też p. Dżeri, że często bardzo pracownicy ci zdumiewali go sprytem swoim i nieraz gdy jego już opuszczała nadzieja, wynajdywali oni dowcipny sposób pokonania jakiejś na pozór niepodobnej do odwrócenia przeszkody.

Na szczęcie woda nie była zbyt głęboko a grunt w którym jej szukano, nie za bardzo twardy, gdy więc dobyto się na stóp 200, trysnęła czysta jak łza woda, i poczęła się na wierzch wydobywać obficie.

Uwieńczone powodzeniem otwarcie pierwszej studni artezyjskiej, zmusiło stowarzyszenie i kolonistów do zmiany zapatrywania się na pomysł p. Dżeri, towarzystwo przeznaczyło też zaraz część dochodów swoich na coroczne urządzenie pewnej liczby studzien artezyjskich, a przesiedleńcy właściciele osad kolonijalnych, poczęli je wspólnemi siłami na gruntach swych urządzać.

Mulaci otrzymali ma się rozumieć przyrzeczoną swobodę, ale zasmakowawszy w rzemiośle studniarzy, sprzedali ziemię sobie nadaną, utworzyli cech, do którego chętnie obcych przyjmują i po dziś dzień zajmują się stawianiem studzien, co im ładny dochód zapewnia.

Liczba też studni artezyjskich powiększa się z rokiem każdym i niezadługo sztuczne nawodnianie, stanie się powszechnie możliwem, a wtedy posucha przestraszać już nie będzie. Że jednak obecnie tak jeszcze nie jest, z inicyatywy p. Dżeri praktykują się środki mające na celu osłabianie klęski, i środki te trzeba przyznać udają się rzeczywiście wybornie.

Ponieważ susze panują w końcu lipca i w początkach sierpnia, zasiewy, jak już wspomniałem, dopełniają się wcześnie a uprawiają się przedewszystkiem takie gatunki roślin, które już w połowie lipca dojrzewają. Aby wybrać na zasiew ziarno najbardziej odpowiednie warunkom miejscowym utrzymywane tu są tak zwane osady próbne.

Oprócz wielkiej osady próbnej, będącej własnością stowarzyszenia, każdy prawie kolonista przeznacza na cel podobny kawałek ziemi swojej. Na osadach próbnych zasiewa się przerozmaite gatunki zbóż i roślin, sprowadzonych bodaj czy nie ze wszystkich pięciu części świata. Za pomocą długich w podobnym rodzaju doświadczeń, udało się osiedleńcom poprzyswajać sobie gatunki, które dojrzewając wczas, dają produkt doskonały.

Obawa posuchy, w skutku której w początkach kolonizacyi przepadł inwentarz cały, zmusza osadników mieć się na ostrożności. Zaraz od początku wiosny, każdą chwilę wolnego czasu zużywa się na kośbę siana, a koszenie trwa i latem, gdy się ukończą zasiewy. W ten sposób przygotowane corocznie ogromne zapasy siana, przechowuje się na stepach w stogach. Gdy lata nie są zbyt suche, zapasy dwa lata pozostawać mogą w stogach, ale po latach trzech, siano się psuje i staje niezdatnem do użytku. Kiedyś stogi takie podpalano i porzucano, przed laty atoli kilku, jeden z fermerów po spaleniu stogów popsutych, przebrał części spalone, przygotował potaż i sprzedał go korzystnie. Spodobało się to sąsiadom i obecnie, każdy prawie fermer wyrabia potaż z przestałego siana. Bez względu na taniość tego produktu, zbyt tak wypada korzystnie, iż niektórzy fermerowie rok cały zbierają trawę na potaż. Łatwy sposób oczyszczania popiołu, taniość glinianych pieców do wypalania siana i bezpłatne paliwo z grubych łodyg niektórych roślin stepowych, sprawiają, że przygotowywaniem potażu chętnie się tu bardzo zajmują, mianowicie w czasie zimy, gdy około gospodarki robót jest niewiele.

Prawie każdy właściciel większy zaprowadza u siebie ogród owocowy, a na polach liczne sadzi drzewa. Z drzew tych dziś nie ma jeszcze użytku wielkiego, ale z czasem oprócz cieniu, dostarczą materyału drzewnego, który obecnie z daleka sprowadzać potrzeba. W ogóle przy najbardziej nawet powierzchownem rozpatrzeniu się w okolicach wenty, nie podobna nie zauważyć, że gospodarstwo tutejsze wspiera się na podstawach rozumnych i zapewnia w przyszłości nieobliczone korzyści. I teraz już drogą żelazną wywozi się stąd do Stanów wielką ilość produktów mlecznych, spore zapasy pszenicy i lnu przedewszystkiem. Coraz bardziej wzmagająca się uprawa lnu, zapewnia dla całego prawie południa Tehasu korzyści olbrzymie, bo len tutejszy nie wiele ustępując pod względem dobroci lnom zelandzkim, w czterykroć przewyższa go zebraną z akra ilością. Gdy wreszcie przybędzie rąk do pracy, a nie zbywa tu wcale na pulchnych i zdrowych dzieciakach, zbiór lnu stanie się znacznie łatwiejszy i południo-zachód Tehasu zajmie pokaźne miejsce w dostawie tego cennego materyału na wszystkie rynki świata.

II.

Karczma ruska wśród amerykańskiego stepu. — Przyczyny jakie skłoniły właściciela przesiedlić się z Rossyi. — Przejazd do Ameryki. — Właściciele domu gościnnego. — Dom robotników w Uard-England. — Życie w New-Yorku. — Salon w Prestonie. — Znajomość z rycerzami pustyni. — Nabycie pogranicznej wenty. — Korzystny handel.

Skończywszy zwiedzanie ferm sąsiednich i zaopatrzywszy się w potrzebny furaż, osiadłem w wencie i spędzałem czas, jakbym się znajdował w Rossyi. I rzeczywiście, gdyby nie strażnicy ze swojemi kurtkami i łamanym językiem angielskim, gdyby nie posługujący mulaci, mogłem tu był zupełnie o Ameryce zapomnieć.

Gadatliwa gosposia, opowiedziała mi ze wszystkiemi możliwemi szczegółami swoję i męża swego historyę, a przy każdej sposobności rozprawiała ze mną o Rossyi.

Przypuszczam, że opowiadanie mojej zaatlantyckiej rodaczki, która zwyciężyła tysiączne trudności podróży w dalekie i zupełnie obce sobie strony, potrafiła przytem podtrzymać energię męża, nieraz upadającego na duchu i wreszcie dorobić się grosza, nie będzie bez interesu dla czytelników moich. Otóż, Olga Telecka, dziś właścicielka dobrze procentującej wenty na granicy Indyan-Territori, urodziła się w jednym z powiatów gubernii W... Ojciec jej dzierżawił zajazd i karczmę na trakcie z Petersburga do Warszawy. Dopóki nie zbudowano drogi żelaznej, dochód z zajazdu był bardzo znaczny, ale później zmniejszył się i bodaj przepadł zupełnie, gdy zreformowano akcyzę i gdy żydzi naotwierali szynków co niemiara. Poprzednia zamożność znikła, prędko i doprowadzony do ubóstwa ojciec Olgi, począł zapijać sprawę a w dodatku odbijać niepowodzenia na żonie i trzech córkach, z których Olga była najmłodszą. Nieznośnie też było Oldze w domu rodzicielskim, w ostatnich zwłaszcza czasach.

O wychowanie jej i jakie takie wykształcenie nikt się nie troszczył, a że bardzo mały dochód z zajazdu wystarczał zaledwie na życie, odprawiono czeladź i wyręczano się córkami.

Od lat więc najmłodszych prawie przywykła Olga do pracy ciężkiej, a w pośród otoczenia karczmy, wyrobiła w sobie tę energię zaradność i tę umiejętność obchodzenia się z ludźmi różnego kalibru, jakie w ogóle ludzi bywałych cechują.

Nieopodal od zajazdu i szynku ojca Olgi, ojciec Jana Teleckiego był rządzcą w pewnym majątku. Zajęty pracą—ojciec Jana także też o wychowaniu i kształceniu swoich kilku synów nie myślał i... rósł Janek, sam sobie najzupełniej pozostawiony. Matki nie pamiętał, bo dawno bardzo umarła. Ktoś tam jakiś, a podobno pisarz prowentowy z folwarku poduczył go trochę czytać i pisać po polsku i po rossyjsku i na tem się nauka skończyła. Nie umiejąc żadnego rzemiosła i nie bardzo chcąc pracować, Janek używanym był na posyłki przez ojca i starszych braci. Ale gdy

chłopak wyrósł, gdy niezadługo trzeba było coś o losie jego pomyśleć, ojciec począł się nim więcej zajmować, chciał go bowiem wykierować na rządzcę lub ekonoma przynajmniej. Miał więc Janek w życiu czasu wolnego dosyć i zużytkowywał go na wypróbywanie gruszek i jabłek w ogrodzie ojcowskim, wybieranie gniazd ptasich i zbijanie bąków z rówiennikami. Rówiennicy ci, dzieci włościan miejscowych, trzymali się z pewnem uszanowaniem względem syna administratora i ustępowali mu we wszystkiem bo wiedzieli, że gdyby sprawa doszła do dworu, mogliby oberwać co zreszty.

Janek miał się też za coś nieskończenie wyższego, miał się za istotę z niezwykłej ulepioną gliny. Czy to, ze względu na większą samodzielność czy z powodu, że dzierżawca zajazdu i karczmy, był w oczach Janka czemś nierównie dostojniejszym, jak każdy włościanin inny, dość że na jedną tylko Olgę patrzył on jak na równą sobie istotę, zaprzyjaźnił się z nią nie na żarty. Przestawając ciągle ze sobą, ani spostrzegli sami gdy przyjaźń dawna, przemieniła się w miłość i młodzi ludzie pobrać się postanowili.

Nie przewidując przeszkód żadnych, Jan zwierzył się z zamiarem ojcu swojemu, prosząc aby mu coprędzej wyrobił gdziekolwiek miejsce jakie. Stary jednakże Telecki inaczej patrzył na te rzeczy. Nie bardzo rad aby syn jego z szynkarzówną się ożenił, w odpowiedzi na oświadczenie syna, zabronił mu najsurowiej zaglądać do zajazdu, a gdy to nieposkutkowało, przywołał ojca Olgi i zapowiedział że wypędzi go za dziesiątą granicę jeżeli córce niewczesnych romansów z głowy nie wybije.

Karczmarz chociaż w gruncie rzeczy wcale także nie był za tem małżeństwem, obraził się wystąpieniem Teleckiego, że nie śmiał mu odpowiedzieć, odbijał się po staremu na żonie i córkach, a przy pierwszym spotkaniu Janka zapowiedział mu, że gdy go raz jeszcze około karczmy obaczy, poprzetrąca mu żebra a Olgę zabiję. W obec takiego stanu rzeczy Janek i Olga nie mogąc spotykać się jawnie, musieli spotykać się cichaczem,.. po kryjomu.

Że owoc zakazany najlepiej zawsze smakuje, młodzi bardziej teraz jeszcze rozkochali się w sobie a Janek przemyśliwał jakby się samemu pokierować na świecie. Stary Telecki rozwinął czujną straż nad synem, a gdy się o spotkaniach z Olgą dowiedział wysyłał go codziennie pod różnemi pretekstami jak najdalej od domu.

Na nic się wszelkie nie przydały represye, Jan przepadał z domu na dnie całe, nie spełniał poleceń i skończyło się na tem, ze obrażony ojciec wypędził go od siebie i oznajmił, że powrócić może pod tym tylko warunkiem jeżeli niewczesnych zamiarów zaniecha i weźmie się do pracy.

Ciężkie było położenie Jana wypędzonego bez grosza w kieszeni i najmniejszych środków do życia. Sprobował pierwiastkowo udać się do brata, ale brat nie chcąc narażać się ojcu odmówił mu gościmy. Brat drugi postąpił tak samo i Janek spostrzegł, że trudno mu będzie ożenić się z Olgą, boć jej ojciec z kolei będzie mu teraz stawiał przeszkody. (d. n.)

ROZMAITOŚCI.

Społeczne.

— „Gołos" pisze że niedawno na stacyę drogi żelaznej w Smoleńsku jakiś nieznany jegomość dostawił ogromną, blachą obitą pakę, którą przed wyekspedyowaniem do Mińska wstawiono do sali bagażowej. Było to w nocy, w sali spał siedząc na ławie jeden że służby kolejowej, którego zbudził hałas sprawiony wnoszeniem ciężkiej paki. Że jednak nie było co robić wśród nocy, ów officyalista kolejowy pozostał spokojnie na miejscu, tylko od czasu do czasu otwierając zaspane oczy. Nagle zdziwiony dostrzega że wieko owej paki porusza się samo, mimowoli krzyknął i podniesione wieko wnet się opuściło. Na krzyk owego officyalisty zbudziło się i przybiegło niebawem kilku że służby, kolejowej, w obec których z paki wyszedł człowiek z ogromną brodą i silnie zbudowany. Po przyaresztowaniu i zrewidowaniu przez żandarmów, znaleziono przy aresztowanym pęk wytrychów i rozmaitych narzędzi ślusarskich oraz fałszywy paszport. Skrzynia zamykała się z zewnątrz i wewnątrz otwieraną być również mogła, czy to z wewnętrznej czy z zewnętrznej strony za naciśnieniem sprężyny. Aresztowanie tego złoczyńcy objaśnia częste wypadki kradzieży dokonywanych w towarowych wagonach wielu kolej rossyjskich.

— Dzienniki wiedeńskie donoszą że w tych dniach uwięziono w Wiedniu pewnego Rossyanina, który popełnił różne oszustwa, zwłaszcza na zamieszkałych w tem mieście ziomkach swoich. Oszust mienił się porucznikiem Alexym Mihałowem „dyplomatą do tajnych misyi" i występował z niesłychaną arrogancyą i zuchwałością. Komisarzowi policyj wzbraniał się dawać odpowiedzi na zadawane sobie pytania, twierdząc, że nie możem kompromitować wysoko postawionych osób. Z dochodzenia wszakże okazało się, że samozwańczy „dyplomata do tajnych missyi", jest cyrkułowym lekarzem z Warszawy i nazywa się Worowów.

— Gazety niemieckie ostatniemi czasy wiele się zajmowały Warszawą, Królestwem Polskiem i stosunkami zawiślanych krajów. Niedzielny dodatek do Krzyżowej gazety zawierał wspomnienia z podróży do Warszawy, Szlązka zaś gazeta, umieściła ciekawe listy o stosunkach towarzyskich i społecznych w Warszawie, napiętnowane znajomością i życzliwością zarazem.

Naukowe.

— Zjazd naturalistów zapowiedziany w Warszawie na dzień 15-go sierpnia r. b., odroczony został bez oznaczenia terminu w którym ma się rozpocząć.

— Laboratoryum chemiczne pp. Szperlinga i Zielińskiego w Warszawie, zamierza przy pracowni swej otworzyć kurs chemiczno-praktycznych zajęć, wyłącznie dla uczniów aptekarskich poświęcony. Przyrządzanie wszelkich preparatów, objętych farmakopeą i innych z dziedziny chemji farmaceutycznej, stanowić ma główne zadanie kursów, które ze względu na pożytek z nich wypływający, znajdą niezawodnie sporą liczbę żądnych gruntowniejszego obeznania się z chemją kandydatów.

— Komisya balneologiczna krakowskiej akademii umiejętności, odbyła d. 26 maja posiedzenie pod przewodnictwem prof. dr. Dietla. Sekretarz komissyi dr. Sciborowski zawiadomił o odesłaniu odezwy komisyi, wzywającej o nadsyłania sprawozdań, do 23 zdrojowisk i zakładów leczniczych w Galicyi, oraz do 9 w sąsiednich ziemiach. Z tych nadesłały sprawozdania dotychczas: Busk, Krynica, Rabka, Truskawien, Zakopane i Żegiestów, oraz doktór Jendl z Wieliczki, gdzie niegdyś był zakład leczniczy, nadesłał wypracowanie wskazujące potrzebę i możność otwarcia tamże nanowo zakładu leczniczego. Na wniosek przewodniczącego, członkowie komissyi będący lekarzami zdrojowemi mają zdać sprawę o zakładach, w których zajmują się praktyką lekarską, a prócz tego członkowie Blatteis i Sciborowski mają szczegółowo zwiedzić i zbadać, pierwszy Żegiestów, drugi Zakopane, a następnie zdać sprawę w komisyi. W dalszym ciągu, zawiązano ściślejszy komitet naukowy, któryby orzekał o pracach ściśle naukowych, wskazywał kierunek tychże, przedstawiał zadania do rozwiązania i t. d. Komitet ten składają: prof. Czyrniański, dr. Korczyński, którzy w miarę uznania, do prac szczegółowych mogą przybierać innych członków komisyi. Wreszcie dr. Olszewski docent uniw. jagiel.; odczytał wiadomości o składzie chemicznym wody żelaznej znajdującej się w klasztorze Zwierzynieckim pod Krakowem. Woda ta, słabo żelazista, jako zawierająca bardzo mało gazu kwasu węglowego do przesyłki się nie przyda, lecz na miejscu może być używana z pożytkiem.

— Dnia 31 maja odbyło się w Krakowie posiedzenie komisyi antropologicznej akademii nauk. Przewodniczący dr. Majer zdał sprawę z czynności dokonanych od czasu ostatniego posiedzenia. Według tego, w skutku odezw poczynionych od starostów i lekarzy powiatowych, otrzymała komisya 1091 spostrzeżeń antropometrycznych, zebranych przy sposobności tegorocznych popisów wojskowych. Spostrzeżenia te, z zeszłorocznemi dochodzące do 4,559, będą przedmiotem umiejętnego opracowania przez doktora Majera i sekretarza komisyi doktora Kopernickiego. Skutkiem porozumienia się z komisyą językową, spisy własności językowych z okolic Drohobycza przez pana Parylaka, z powiatów: krakowskiego, bocheńskiego i wadowickiego przez doktora Kosińskiego, zamieszczone będą łącznie z temi, które w tym przedmiocie otrzymała komisya antropologiczna, w dziale etnologicznym sprawozdań, które ta ostatnia już w r. b. ogłosić zamierza. Zebrane w osobnych odbitkach stanowić będą wspólne wydawnictwa obu tych komisyi. Inne szczegóły z zakresu technologii ofiarowali komisyi dr. Kopernicki i p. M. Gralewski. Dr. Kopernicki przedstawił i oznaczył kości wydobyte z jamy Smoczej na Wawelu, uporządkowane według szczegółowych tejże komór. Wiadomość ta obok pomiarów dokonanych przez prof. Kuczyńskiego, posłuży prof. Althowi do uzupełnienia opisu poszukiwań, dawniej już przezeń w tej jaskini poczynionych.

— W bibliotece akad. nauk w Krakowie mieszczą się bogate materyały do historyi szkół w Polsce, zebrane przez ś. p. Muczkowskiego. Obecnie korzysta z nich wydział literacki, celem opracowania takiej historyi w szerokim zakresie.

Literackie.

— P. Bronisław Grabowski napisał nową 5-cio aktową komedyą p. t. „*Na wodach.*"

— „Gazeta Lwowska" pomieszcza w odcinku swoim szkic p. t. „*Komornik*," skreślony przez autora „Kłopotów starego komendanta."

— P. Sewer napisał dla *Niwy* powieść „Wydziedziczone“.

— Maurycy hr. Dzieduszycki, wydaje u Wł. Bełzy we Lwowie obszerne studyum o samobójstwie.

Wynalazki.

— P. Józef Przygodzki, inżynier warsztatów mechanicznych kolei Karola-Ludwika w Krakowie, wynalazł przyrząd do wiązania snopów i jak donosi pruska „Gazeta Rolnicza“ wychodząca w Wrocławiu, próby odbyte wypadły zadawalniająco. Wzmiankowana Gazeta zachwyca się niepospolitym pomysłem, przyznając, że jeden z najtrudniejszych problematów w dziedzinie mechaniki rolniczej tym wynalazkiem został pokonany, podnosząc praktyczność i potrzebę tego przyrządu, dającego się do każdej żniwiarki zastosować. Wynalazca poczynił kroki do uzyskania przywileju we Francyi, Austro-Węgrach, Rossyi i Ameryce. Niemiecka fabryka żniwiarek E. Januszek w Świdnicy, nabyła od wynalazcy prawo przywileju na państwo Niemieckie.

Artystyczne.

— Znakomita fortepjanistka pani Aneta Esipów, wybiera się w podróż po kraju Nadbaltyckiem i zamierza wystąpić w koncertach, w Rewlu, Narwie i Rydze.

— W gmachu senatu czyli w b. pałacu hrabiów Krasińskich, w którym mieścić się będzie Izba sądowa warszawska, w sali posiedzeń p. Biedroński Leon maluje obecnie plafon sufitowy, przedstawiający Temidę otoczoną amorkawi.

— P. Nepomucen Nowakowski rzeźbiarz, zajęty jest wycinaniem w białym kararyjskim marmurze, popiersia ś. p. Dra Jana Bącewicza, które umieszczone będzie na cmentarzu Powązkowskim, w miejsce biustu bronzowego, umieszczonego chwilowo nad mogiłą zmarłego.

— Na scenie Krakowskiej wystawiono dnia 3-go b. m. „Emigracyę chłopską“ Wł. Anczyca. Teatr był przepełniony. Autora zachwycona publika przywoływała kilkakrotnie.

— W ubiegłem półroczu w szkole sztuk pięknych w Monachium, następujący Polacy otrzymali nagrody: w szkole rysowania antyków pan Pociecha, medal bronzowy; w szkole malarskiej, takiż medal pp. Wyczołkowski i Stenzl. Pochwały w szkole rysunków z natury, pp. Urbański i Owidzki i w szkole p. Wagnera p. Papiezki. Na miejscowej wystawie było kilka obrazów polskich malarzy, jak pejzaże: Maleckiego, Brochockiego, Łosia, Strejta i portrety Ajdukiewicza i Hejmana.

Szkoły.

— Szkołę dla felczerek urządził w Petersburgu Komitet damski przy szpitalach. W roku 1875 znajdowało się w niej pensyonarek stałych 10, przychodnich 42, a ukończyło kurs 14.

— Na polepszenie utrzymania 14 szkółek wiejskich w guber. Suwalskiej, przeznaczono jednarozowo summę 2,800 rs., z kredytu zamieszczonego w budżecie Ministerstwa Oświecenia Publicznego.

— Kurator Okręgu Naukowego Warszawskiego, Radca Tajny Senator Witte, dozwolił p. Pankiewiczowi, przełożonemu szkoły prywatnej męzkiej o 4-ch klassach w Warszawie, zamiast zakładu tego, otworzyć i utrzymywać szkołę prywatną o 6-ciu klassach z kursem szkół realnych, z oddziałem zasadniczym, wydziału Ministerstwa Oświecenia Publicznego.— Nadto p. Dureckiemu utrzymującemu szkołę prywatną w m. Kutnie, udzielił upoważnienie do otwarcia w m. Łodzi, szkoły 3-klassowej prywatnej męzkiej, z kursem 3-klassowych szkół miejskich, z zastrzeżeniem ścisłego zastosowania się do Najwyżej w d. 31 maja 1872 r. zatwierdzonego postanowienia o szkołach miejskich.

— Ogólna liczba dzieci uczęszczających obecnie do wszystkich Ochron pod opieką W. T. D. pozostających, dochodzi do 2,231; dodawszy do tego sieroty w obu zakładach i w przytułku, wypadnie ogólnie cyfra 2,581. Najwięcej dzieci jest w Ochronie na ulicy Freta bo 300, następnie 149 przy ulicy Piwnej, wreszcie 148 przy ulicy Chmielnej,

— Czytamy w „Gazecie Lubelskiej:“ Instytut gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej-Aleksandryi (Puławach), w stosunku do lat ubiegłych, znakomicie powiększył w ostatnim roku liczbę swych słuchaczy, do czego przyczyniła się zmiana postanowień koniecznego dawniej ukończenia całkowitego kursu nauk gimnazyalnych. Liczba wszakże dzisiejsza, 110 słuchaczy obejmująca, jest nader mała w kraju, przeważnie rolnictwu oddanemu i szybkim krokiem dążącym ku jego rozwojowi, jako podstawie ogólnego dobrobytu. Jakie są przyczyny, że młodzież nie garnie się do tej jedynie w kraju wyższej agronomicznej szkoły? Zdaje się nam że są dwa do tego główne powody: 1) za mała ilość szkół z kierunkiem realnym w ogóle w całym kraju, a po szczególnie nie istnienie żadnej szkoły realnej tak w gubernii Lubelskiej, jako też Radomskiej, w prowincyach najbliżej Puław położonych, a integralne prawie, zapomocą szkół filologicznych przygotowanie młodzieży na wydziały prawny i medyczny (filologiczny pomijamy), które to fakultety w stosunku do innych możemy także uważać za przepełnione i 2) odważymy się powiedzieć: brak zaufania do młodej jeszcze instytucyi naukowej, nie dającej dotychczas ogółowi ziemian dostatecznej rękojmi, czy młodzież z niej wyszła jest właściwie wykrztałconą? Szczupła garstka wychowańców Puławskich, rozproszona po kraju, a po większej części do służby Rządowej leśnej użyta, lub rolę gubernii lubelskiej płużąca, nie mogła rozgłośnie dać znać o sobie. Ogół wie o tem dobrze, że instytucye naukowe agronomiczne, oprócz zdolnych i ze stosunkami krajowemi doskonale obznajmionych nauczycieli, wymagają wielu pomocniczych akcesoryów, jak wzorowe fermy, czyste a różnogatunkowej krwi obory, zarodowe owczarnie, maszyny, gabinety, muzea, warsztaty, ogrody i t. p, które zagraniczne tego rodzaju zakłady w komplecie posiadać się starają, a bez których wykształcenie zupełne niepodobnem się czyni. Instytut Puławski nie posiada może w tym stopniu, w jakimbyśmy pragnęli żądanych warunków, jakkolwiek nie można powiedzieć żeby ich był pozbawiony zupełnie; w ostatnich szczególniej czasach ferma doświadczalna, znakomite poczyniła postępy, muzea i gabinety znacznie się powiększają, czemu wielce dopomódzby mogło poparcie myśli zasilenia Instytutu przez mieszkańców Królestwa wszelkiego rodzaju okazami, tak rzeczy kopalnych, jako też gatunków gleby, płodów surowych, zbóż, traw, drzew, przerobów fabrycznych i t. p. Umiejętna ręka potrafilaby nadsyłane z różnych miejscowości okazy ułożyć w szacowne zbiory, które dałby wyobrażenie o tem wszystkiem co kraj posiada i produkować jest zdolny, tak w ogóle jako i w pojedynczych swych częściach, coby dopomogło nieskończenie do kształcenia się młodzieży: kosztu by zaś za sobą wielkiego nie pociągnęło, Puławy bowiem dzisiaj są jeszcze portem zbożowym dla wielu okolic gubernii Lubelskiej i Radomskiej, przy transportach przeto zboża wysyłki podobne mogłyby być dokonywane, wkrótce zaś z resztą kraju miejscowość ta połączoną zostanie koleją nadwiślańską. Zebranie w każdej okolicy kawałka rudy, wapna, gliny lub torfu, kilku kłosów zboża lub traw, szczypty wełny i t. p, wielkiego trudu nie przysporzyłoby dbałym o wykształcenie młodzieży w ich własnym zawodzie rolnikom.“

— Dzienniki, petersburskie donoszą, że Rząd zamierza wprowadzić przymusowe uczęszczanie do szkół elementarnych, uczniów zakładów rękodzielniczych i fabrycznych. Na utrzymanie szkółek właściciele zakładów fabrycznych płacić mają od $1/2$ do 2% z summy zarobków robotników, lub tez najmniej rs. 1 kop. 50 od każdej głowy pracowników przeciętnie zatrudnionych przy warsztatach.

Od Redakcyi.

W przyszłym kwartale roku bieżącego „Opiekun Domowy“ wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą i na tych samych co obecnie warunkach.

Łaskawych pp. prenumeratorów prosimy uprzejmie o wczesne nadsyłanie przedpłaty.

Z powodu chwilowego zamknięcia przez właściwą władzę drukarni w której się pismo odbijało i powstałej stąd potrzeby przeniesienia się do drukarni innej, w wysyłce ostatnich kilku numerów powstało, stosunkowo dosyć nawet znaczne opóźnienie. Obecny jednak Nr. 24, doręczamy już w terminie właściwym—ufając że ta niemiła dla czytelników nieakuratność, ze względu na powód który ją powodował, łaskawie uwzględnioną zostanie.

Ogłoszenia.

Дозволено Цензурою. Варшава 2 (14) Іюня 1876 г.

W drukarni Józefa Kaufmana. — Warszawa, Nr. 658 (9 nowy).

Wydawca Korzeniowski.

Redaktor Henryk Perzyński.